

Kossak Zofia

Kłopoty Kacperka góreckiego skrzata



calibre 1.15.0

ZOFIA KOSSAK

KŁOPOTY KACPERKA

GÓRECKIEGO SKRZATA BAŚŃ

Dom w Górkach był bardzo stary, zamieszkujący go zaś podciepek, zwany Kacperkiem, chełpił się nieraz, że jest jednym z najstarszych podciepków, czyli skrzatów domowych, na Śląsku. Jakoż trzysta lat z górą mijało od chwili, gdy imci pan Hieronim Markłowski, starosta ziemski, dziedzic górecki, nowy murowany dwór w miejsce dawnego modrzewiowego wystawił - a trzysta lat to jest bardzo wiele.

Tuż za dworem zaczynały się wtedy ogromne, przepaściste lasy, schodzące z pobliskich gór, i wieńcem otaczały świeżo budowany dom. Na szczycie dachu cieśle umieścili gaik - drzewko jodłowe, całe ubrane wstążkami na znak, że już kończą swą robotę, a murarze wesoło rozbierali rusztowania. Pan Hieronim Markłowski był ubrany w suty żupan przepasany pięknym pasem, u którego wisiała wąska, krzywa szabla. Jego żona, jejmość Barbara z Budowskich, starościna Markłowska, miała na głowie duży, rurkowany czepiec, który dzisiaj wydawałby nam się bardzo zabawny, obcisły stanik z ogromnymi rękawami i długą, błyszczącą suknię, tak sztywną i szeroką, że postawiona, stałaby sama na ziemi jak bibułkowa zasłona lampy. Oboje modliiii się, by Bóg błogosławił nowemu domowi, gdy tymczasem ksiądz złożonym kropidłem święcił mury, szepcząc łacińskie modlitwy.

Otóż w owej właśnie chwili, ze zgodnego wysiłku cieśli, z ochoczej pracy murarzy, z błogosławieństwa strząśniętego wraz z wodą święconą, z dobrych myśli pana Hieronima i jego żony Barbary - narodził się ten skrzatek mały i jako dusza wzniesionego domu pozostać w nim miał aż do końca. Miał w nim mieszkać i

stróżować, póki by się fundamenty w proch nie rozsypały, a dom nie zamienił w gruzy chwastem porośłe.

Za czym przez długie lata Kacperek stróżował.

Stróżował, gdy był jeszcze młody, a w domu mieszkały dzieci pana

Hieronima Markłowskiego, jego wnuki i prawnuki. Widział, jak się rodziły i

umierały, jak szły na wojnę albo na wesele, i znał wszystkie ich troski i uciechy.

Ciężko wzdychał i dużą skrzacią głową kiwał, gdy pewnego dnia opuścili stary dom,

a w Górkach, podobnie jak na całym Śląsku, zamieszkali Niemcy. Niemcy byli obcy,

niemili, i Kacperkowi trudno było zżyć się z nimi, nie miał jednak prawa opuścić

domu, którego był duszą i stróżem. Więc został, czuwając pilnie po dawnemu, choć

wielkie, piękne pokoje na górze zamieniono na spichlerz pełen pajęczyn i szcurów -

a na dole mieszkał gruby, hałaśliwy Niemiec, który łąjał swoje dzieci, pił ciągle piwo

i nie lubił psów ani żadnych dobrych zwierząt.

Długie miesiące i lata siedział stary, mądry skrzat wśród zakurzonych murów

i w zapachu zboża, a wyglądając przez szpary zabitych deskami okien na piękny

świat górski, rozmyślał o tym, co w swym życiu widział. Dokoła niego myszy

wyprowadzały na pierwszą przechadzkę najmłodsze swoje mysięta, różowe i gołe,

podobne do strasznie maleńkich prosiątek, pająki tkały z nudów długie, szare

płachty, a on odszukiwał w myśli dawne dzieje.

Przez dom szła na przestrzał długa sień sklepiona, zakończona dwiema

kutymi bramami, które na noc zawierano wpuszczoną w mur belką; Kacperek więc

przypominał sobie czasy, gdy dwór był obronny, bo takim być musiał, a ciężka belka

nie służyła bynajmniej tylko ku ozdobie. Ho ho! Gdyby zaczął opowiadać, kto się

tutaj nie bił!

Ale nie było komu opowiadać...

Mnogie, barwne wspomnienia spoczywały w skrzaciej głowie, układając się powoli w głęboką a pogodną mądrość. Czasem przychodziło mu na myśl napisać pamiętniki, był bowiem podciepkiem uczonym; poniechał jednak zamiaru wobec braku koniecznych do pisania rzeczy.

Nie nudził się, siedząc na swej szychcie zboża, ani samotnym się nie czuł.

Żaden dom nie bywa pusty, choćby w nim człowiek nie mieszkał. Toteż wokoło Kacperka aż się roiło od rozmaitych żywych stworzeń. Tęsknił jednak do ludzi - innych niż ci z dołu - i do mowy polskiej, mowy, którą słyszał i kochał za młodu. Czasami brała go chętka porzucić zatęchłe powietrze i wyjść nad rzekę Brennicę ku szumiącej, bystrej wodzie. Ale stary dom nie puszczał. Byli przecież zżyci ze sobą i nierozdzielni, razem cierpliwie czekający, czy Bóg jakiej zmiany dobrej nie nadesł.

Aż się doczekali, że zmiana nadeszła.

Nadeszła niesłychana, przedziwna jak bajka. Zdumiał się Kacperek, choć był już taki stary i nie dziwił się z dawna niczemu.

Rozradował całym sercem i tak odmłodniał, że go ani myszy, ani szczury nie poznały.

Wiecie już sami na pewno, jaka to była odmiana:

Polska była znowu Polską, tak jak kiedyś, kiedyś... Niemcy, źli okropnie, musieli wrócić do siebie. Nie dziwota, że odmłodniał stary polski skrzat.

W lecie 1924 roku, w lecie wielkiej sierpniowej powodzi i małego urodzaju, Kacperek był rzeźwym, ruchliwym podciepkiem, pełnym poczucia swej wagi.

Wprawdzie wzrost jego nie przenosił wzrostu średniego królika, ale to nic nie znaczyło. Twarz miał dobrotliwą i rozumną, otoczoną rzadką, szpakowatą bródką, a

lewe ucho znacznie większe i grubsze niż prawe. Nosił w nim bardzo dziwny kolczyk, zwany w języku skrzatów i zwierząt futerkowych: maru. Maru jest talizmanem, który każdy skrzat mieć musi, inaczej nie byłby nic wart. Przedziwny jest ten kolczyk samoświecący: kto go posiada, może stawać się niewidzialnym, przenosić się w jednej chwili z miejsca na miejsce i dokonywać najtrudniejszych rzeczy. Maleńki podciepek za pomocą swego maru mógł wysunąć ciężką szafę na środek pokoju lub znaleźć się nagle gdzieś o milę. Szpakowata broda Kacperka była z lewej strony przyzółkła i jakby przypalona od świecącego kolczyka, a lewe oko zmrużone od ciągłego blasku. Na sobie miał krótki, granatowy spencerek, klucze u pasa i małą, nie gasnącą latarkę w ręku. Ukończył właśnie trzysta czternaście lat i z przyjemnością myślał, że przeżyje drugie tyle.

Cóż znaczą lata, gdy zdrowe są mury domu i młode serce domowego skrzata?

Życie było bardzo piękne, a świat znów pełen wesela. Niemcy wyjechali z kraju, w Górkach mieszkali Polacy. Dwór przestał być spichlerzem; był pełen ludzi dorosłych, dzieci i domowych zwierząt. Poświęcono go znowu i Kacperek cieszył się, słysząc łacińskie błogosławiące słowa, te same co niegdyś.

Po latach bezczynności i smutnych rozmyślań Kacperek miał znowu nawał miłej pracy: toćże on był stróżem domu i właściwym gospodarzem. Wprawdzie ludzie sądzili, że rządzą się sami, ale ile Kacperek miał przy nich roboty! Drzwi pozamykać, lampę zapomnianą zgasić, o mnóstwie rzeczy przypomnieć, piec za wcześnie zamknięty odsunąć...

Oprócz ludzi niemało kłopotu sprawiały mu także zwierzęta.

Topsio zadzierał ciągle z Miauliną. Pająki łowiły młode muchy w czas ochronny. Filon, gołąb, sprzeczał się z żoną Laurą i zbił śliczną starą lampę w

dziecinny pokoj. Myszy klóciły się zajadle między sobą o mieszkanie lub dobierały do zakazanych im wianków dożynkowych, a nietoperze wpadały do pokoju - niby to niechący.

A przecież obok ludzi i zwierząt roił się jeszcze liczny świat istot niewidzialnych - niesłusznie tak zwanych, bo maleńkie te stworki domowe można widzieć doskonale. Tylko są one tak drobne i ruchliwe, że powolne, duże oczy ludzi, zajętych swoimi myślami, nie umieją nigdy ich dostrzec. Jest ich zaś wszędzie ilość nieprzebrana, zwłaszcza w starych polskich domach.

Nie znoszą one krzyków, niezgody i fałszu, ale garną się chętnie w pobliże osób dobrych i pogodnych.

Tak więc w ogniu pod blachą żyją tłumnie niespokojne igiigi, w każdym zaś prawie zamku od drzwi siedzi mały, rdzawy kluczek, który ma zgrzytliwy głos, wygląda dziurką od klucza i opowiada jednej stronie, co widział po drugiej. Do domu także ucieka przed deszczem szczypiorek, bardzo pomocny w zapędzaniu drobiu. Krzyczy jak paw, znaczy przeżyte lata paskami na brzuszku i nosi dwa długie, zabawne piórka na głowie. Przez całą jesień i zimę w piwnicy z jabłkami mieszkają piruski, stworzonka okrągłe i zawsze wesole. W lecie przebywają na drzewach w sadzie i nierzadko można złapać którego. Kurczy wtedy mocno nóżki i świetnie jabłko udaje. Zdarza się też często narwać koszyk gruszek, odejść - i po chwili już połowy nie ma! To piruski, spostrzegłszy, że nikt na nie nie patrzy, uciekły z koszyka do piwnicy albo do sadu.

W fortepianie znowu rozmnażają się chętnie małe i szkodne klawiki, które bardzo często niszczą struny. Klawik posiada zęby tylko w górnej szczęce, głosu nie ma, ale trąca nóżką w śmieszny rodzaj ogonka i brzęczy cienko jak świerszcz.

W skrzynce z węglem mieszkał czarny jak sam węgiel, twardy i swarliwy smolik. Nawet duża beczka na wodę miała towarzysza, który rozweselał jej jałową, wodnistą samotność. Nazywał się trochę cudacznie i z cudzoziemska: akwadon, ale był ruchliwy i uprzejmy. (Akwadon beczkowy jest kuzynem akwadona miejskiego, żyjącego w wodociągach. Ale tamtemu przebywanie w mieście popsuło charakter: jest złośliwy, pluje wodą, a czasami nawet nieostrożnych gryzie.)

Najwięcej bodaj kłopotu i troski przyczyniały Kacperkowi chytre kanapony, które w swej niepohamowanej żądzy gromadzenia dobytku ścigały do wnętrza kanap wszystko, co się dało. Są to nieznośne stworzonka, których wszędzie pełno. O ich obecności w domu łatwo się przekonać, wsunąwszy głęboko rękę w obite boki kanapy. Jeśli znajdzie się tam szpilki, karty, nożyczki, napaśtek, ołówki, nici, listy lub inne przedmioty, od razu można powiedzieć, że mieszka tutaj kanapon.

Siłą praw dawnych skrzat jest przełożonym tych drobniutkich domowników, których połowy nawet nie wyliczam. Dlatego właśnie ma maru, kolczyk czarodziejski. Mimo to jednak ileż pracy kosztuje utrzymanie ładu wśród tej niesfornej gromady!

Toteż przez całą dobę krążył Kacperek w nieustannym ruchu; kilkakrotnie w ciągu nocy zaglądał do każdego pokoju, sprawdzając porządek i spokój. Tylko do dziecinnego mógł zachodzić rzadziej, bo tam opieka jego nie była potrzebna: gdy wieczór się zbliżał, Anioł Stróż zasiadał między łożeczkami i nic już złego się tam stać nie mogło.

Anioł Stróż Julka nazywał się Majala, był mocny, mądry i czujny; Tadiowy zaś był marzycielski i zamyślony, a nazywał się Tanema. Bo i anioły mają swoje imiona, słodkie i miłe jak nazwania kwiatów. W dzień obaj śliczni Boży służkowie

mieli aż nazbyt wiele zajęcia, goniąc za chłopcami i strzegąc ich od lokomobili, od złego konia, od spróchniałej kładki; ale w nocy, gdy łóżeczka, blisko do siebie zsunięte, można było łatwo jednym skrzydłem okryć, zmieniały się anioły codziennie: jeden czuwał, drugi do nieba leciał po nowiny.

Ludzie mieszkający w Górkach zaznajomili się prędko i pogodzili z Kacperkiem. Już nie budził nikogo stukot jego małego młoteczka, którym starannie opukiwał ściany, ani człapanie filcowych, zadartych ku górze trzewiczków. Przestały niepokoić drobne, zabiegliwe kroczyki, dążące po trzęsących schodach w górę albo na dół, skrzypienie drzwiami lub suwanie sprzętów; a zdarzyło się nawet kiedyś, że Kacperek swoją czerwoną latarką świecił pani Marychnie, gdy po kolacji szła na strych z mlekiem dla kociąt.

Kiedy zmęczony, ale nie zgnębiony robotą swoją, podciepek czuł, że w jego państwie wszystko idzie jak należy, zakładał w tył ręce i szedł do pokoju, gdzie starsza pani przędła wełnę na kilimy.

Hop! - przysiadął Kacperek na wierzchu kądzieli - kołowrotek skrzypiał z lekka pod niespodzianym ciężarem, on zaś z zajęciem przyglądał się z góry robocie. Drobne, pracowite ręce kobiety ciągnęły nić długą, nieprzerwaną; biała kądziel lśniła w słońcu jak srebro; srebrne włosy bieleły się w słońcu jak kądziel, a kołowrotek furczał miarowo, rytmicznie. Potem białe kłęby wełny, ufarbowane w przeróżne kolory, szły barwną tęczą na warsztat i drobne, mądre ręce układały z nich precudne wzory. Zamiast kołowrotka warsztat stukał: buch! buch! buch!, a kwiaty i liście rosły w oczach jakby za zaklęciem. Kacperek patrzył z szacunkiem i nie byłby sobie pozwolił na najmniejszy figiel. Nigdy nie stargał osnowy ani nie pomieszał kłębków. Bo poza tym lubił figle, będąc z przyrodzenia psotnym.

Gdy nadchodziły ciemne, dżdżyste noce, rozplakane deszczem lub buczące halnym wiatrem, stary dom przytulał nieprzebrane mnóstwo istot, z których wiele nie wiedziało o sobie wzajemnie, choć każde się czuło u siebie. Spali twardo ludzie, odpoczywając po trudach dnia; sny ich były mocne, hałaśliwe, pełne zwykłych u ludzi sprzeczności. Spały zwierzęta dobre, psy i koty, uczciwe, przyjazne, ufnie w opiekę człowieka się oddające. Przeciągały się, zbierając do nocnej wędrówki, myszy pod podłogą, łasiczki, nietoperze, ćmy nocne na strychu i żaby w piwnicy. Między nimi swobodnie krążyły niestworki i kanapony, klawiki, szczypioriki, smoliki, igiigi, kluczki, akwadony, piruski... Ale na tiffmthiitfmini Niezbyt daleko od Górek, za zielonym wzgórzem Buczę, za kościołem i polami' wznosiła się góra, zwana Rzybrzyczką. Od dawna i słusznie góra ta miała złą sławę. Nie była wysoka i z wierzchołka bliskich gór, Cisowej albo Równicy, wyglądała w dzień niby przysadzisty, ciemny kopiec, a w nocy złośliwa, krępa czarownica.

Nieprzenikniony, jednostajny las jodłowy, bardzo czarny i splątany, porastał jej zbocza, a w lesie tym nie otwierało się ku słońcu żadne okno, żadna najmniejsza polana. Stąd na Rzybrzyczce było zawsze ciemno, nawet w słoneczne lipcowe południe. Grunt stanowiły tu granitowe głazy, porośnięte rzadkim mchem, na którym nic nigdy nie rosło prócz grzybów trujących.

Na samym szczycie, pod wielkim kamieniem, zakopane były skarby, porzucone tam przed laty. Prawdopodobnie zostawili je zbójcy, których niegdyś wielu bywało w śląskich górach. Nosili czerwone spodnie i błyszczące pasy; przebiegali chyżymi nogami wszystkie góry, od Łysej po Jabłonków i Czantorię, napadając na kupców, którzy z wozami pełnymi towaru jechali od Węgier do Polski. Potem zagrabione złoto, wino, futra i drogie kamienie chowali w górach do podziąłu

i szli na nową wyprawę. Największą kryjówkę jaskinię mieli na wysokiej górze koło Bielska, a wywiercił ją kiedyś w skale jeden zbój, Klimczok, taki sławny, że cała ta góra dotąd nazywa się Klimczokiem.

Ale to jedno schowanie im nie wystarczało - mieli więc jeszcze: na Rzybrzycze, na Lipowej i na innych górach. Otóż raz schowali zbóje na Rzybrzycze swoje skarby i nie zabrali ich wcale. Może wyginęli wszyscy w jakiejś walce, może się wybili wzajemnie, pokłóciwszy przy podziale, jak nieraz bywało - dość że przypadli i ślad po nich zaginął, a złoto, nikomu nie znane i niepotrzebne, zostało.

Odwiecznym prawem źle zdobytych skarbów zasiadł przy nich mały złośliwy szatanek leśny imieniem Sato i pilnował czujnie. Raz w roku musiał odsuwać kamień zatykający jaskinię i przez jedną jedyną godzinę baryłki na poły spróchniałe, pełne błyszczących dukatów, zbutwiałe, drogie niegdyś ubiory, bogate zapięcia i złote łańcuchy migotały wśród ciemności.

Ktokolwiek nadszedłby wtedy, mógłby je wziąć bez żadnej przeszkody. Ale nie nadchodził nigdy nikt i po godzinie ciężki głaz zapadał, a Sato ze złośliwym śmiechem zasiadał na nim na nowy, długi rok.

Tak nieużytecznie leżało to złoto i pewno długie wieki jeszcze leżeć będzie.

Skutkiem usilnych starań złośliwego Sata każdy, kto szedł na Rzybrzyczkę, błądził - aż nauczyli się ludzie omijać z daleka tę górę.

Jak było nie błądzić, gdy nieprzeliczone, jednakowe ścieżki wiły się między drzewami drobne, splątane, nie wiodące nigdzie. Były one wydeptane przed dawnymi laty przez poszukiwaczy skarbów, przez drwali i owce. Kto wszedł w zawily, ciemny ich labirynt, krążył bez końca po zboczach złej góry, aż, znużony, po wielu godzinach wracał w to miejsce, skąd wyszedł. Więc też nie chodził tam nikt i

Sato siedział sam, pilnując swego złota. Z nudów i wrodzonej złośliwości dokuczał zwierzętom i ptakom, aż powoli wszystkie sarny, lisy, zające, wiewiórki, jeże, kuny, borsuki, bażanty, kukułki, zięby, sikory, dzięcioły, trznadłe, nawet najzwyczajsze kumoszki: gadatliwe a nieznośne wrony i sroki opuściły Rzybrzyczkę, przenosząc się do innych lasów okolicznych. Na ich miejsce zaś ze wszystkich szczytów poschodziły się małe, nie zawsze dobre leśne stworki. Przyciągało ich odludzie i złoto pod głazem, błyskające przez szczeliny migotliwym światłem. W bladym kręgu tego światła zbierały się one wszystkie: chichotek drzewny i straszny sowotwór, który piskłęta z gniazd rzuca na kamienie; na pozór senny awilo, z martwymi oczami, godzinami tkwiący bez ruchu na podgiętych nogach, jak wąż czarujący wzrokiem młode zajączki i ptaszki; szarozielony, łuskowaty żernik, co o nowiu wyłazi na skały i tam jak żaba rechoce; wstrętny opryskliwiec, ciężki jednorozec, zwany też ikoro, i niemało innych.

Mimo tego towarzystwa Sato nudził się śmiertelnie i z nudów nie wiedział, co robić. Wygryzał własne racice w ozdobne ząbki, wiązał węzłki na swym długim ogonie i zamęczał biedne, lękliwe pieczarki.

Drobny lud pieczarków mieszkał w zbójcekiej jaskini pod głazem i nieustannie musiał tam przekładać złoto, ustawiając błyszczące dukaty w piramidy, w stożki, w czworoboki, w walce.

Zaledwie skończyły swą pracę, Sato przewracał ją jednym kopnięciem i pieczarki musiały zaczynać na nowo.

Sato, ziewając, spoglądał na ich cierpliwe wysiłki i przeklinał los, który związał go z pieczarkami, z głazem, z ciemną górą i skarbem, po który nikt się nie kwapił. Bodaj to być skrzatem! Byle skrzat, co starej chałupy pilnuje, ma talizman

maru - może sobie chodzić i robić, co chce, podczas gdy on, Sato, siedzi jak niewolnik! Mając maru, mógłby skarbu swego pilnować, a równocześnie bujać po świecie i robić wszystko zło, jakie by zechciał.

Ale dlatego właśnie nie miał maru. Siła zła bowiem jest ograniczona, gdy siła dobra ograniczeń nie ma.

Tak więc wszystkie spokojne i dobre zwierzęta uciekły dawno z Rzybrzyczki - pozostała na niej tylko jedna sowa.

Sowa jest ptakiem złośliwym, stojącym na pograniczu zwierząt i niestworów.

Lata tak cicho, że nikt jej nie słyszy; zna przyszłość, bo jej żółte oczy patrzą daleko - w to, co będzie. Cieszy się, gdy może zahukać złowrogo na kogoś samotnie jadącego nocą:

- Śmierć na ciebie czeka! Strzeż się, strzeż, człowieku!

I śmieje się potem:

- Hu, hu, huuu...

Sowa jest niedobra. Dlatego ona jedna nie uciekła ze złej góry, a Sato chętnie z nią rozmawiał. Była sprytniejsza niż chichotek lub sobowtór, rozmowniejsza niż zapatrzone i senny awilo, ruchliwsza niż ciężki, przeżuwający cuchnące grzyby ikoro. Co dzień wieczorem, o wpół do dziesiątej latem, a o ósmej zimą, wylatywała w świat na swych miękkich, czarodziejskich skrzydłach, które nie czyniły żadnego szelestu, a powracała nad ranem, przynosząc złemu duchowi najrozmaitsze nowiny. Latała do Górek, do Lipowca, nawet do Skoczowa, za Wisłę i w góry. Po drodze chwytła i zjadała małe, śliczne ptaszki, śpiące bezpiecznie w swych gniazdkach. Była zuchwała i nieraz do rana prawie przebywała blisko domów, podsłuchując, co mówią ludzie budzący się ze snu.

Otóż zdarzyło się jednego razu, że wtulona w ciemną szparę pod dachem, podsłuchująca chciwie, o czym szepczą wróble w rynnie, nie zauważyła, że już świt nadchodzi. Mocnymi pazurami uczepiona muru, wytyżała uszy, gdy sto ptaszków krzyknęło naraz wokoło, że już dzień! Obejrzała się zdumiona i wrzasnęła dziko. Zza Góry Baraniej wychodziło złote słońce, jasne, wielkie, nieśmiertelne, najpiękniejszy ze wszystkich twórców Boży. Ptaszki krzyczały co sił w gardziółkach, zadrżały z radości wszystkie drzewa w sadzie, brzęknęły szumnie pszczoły, rozblysł w uśmiechu stary dach zwilżony rosą. Jedna tylko sowa trzęsła się ze strachu, bo ten dziwny i nieszczęśliwy ptak boi się światła i słońca jak zbrodniarz. Więc zacisnąwszy mocno oczy, chciała polecieć na oślep do lasu, ale uderzyła głową o pień drzewa i, przerażona przeszkodą, spojrzała...

Złote, gorące promienie zalały jej żółte, przebiegłe źrenice. Wrzasnęła znowu jak z nagłego bólu i spadła na ziemię, kuląc głowę w trawę. Tam leżała kawał czasu, aż zobaczył ją buhajek Hugo i zawołał swego brata, roztropnego Horacego - sowa bowiem spadła na ich wspólne pastwisko.

Obaj bracia mieli blisko półtora roku, ale nigdy jeszcze nie widzieli sowy.

Stanęli zafrasowani nad stworzeniem z kocią głową, myśląc, co to być może. Mieli zaś zwyczaj, że myśleli zawsze ogromnie powoli. Stali więc długo, aż Hugo podniósł pysk do góry i kłopotliwie zaryczał:

- Myślę i myślę, i nic wymyślić nie mogę! To nie jest trawa, to nie jest ptak, to nie jest pies ani koń. Jestem zupełnie pewny, że to nie jest człowiek. Cóż to jest, bracie Horacy?

- To nie jest ptak ani pies, ani koń, ani na pewno nie jest człowiek - powtórzył Horacy, trąc łeb w zamyśleniu. - To ma pióra i kręci głową, a ta głowa nie jest

podobna do niczego, co widziałem. Mmm... mmm... Bracie Hugonie, jestem zaniepokojony.

Nadeszła kłapoucha kucka chłopców, Dyzia. Szła pomału, bo cierpiała na otłuszczenie serca, ale myślała prędzej niż oba buhajki. Zresztą miała przecież osiem lat i kiedyś nawet podobno wozila wodę w Krakowie. Nie miała wtedy otłuszczenia serca, ale nie lubiła tych czasów wspominać.

- To jest ptak, sowa - powiedziała krótko. - Ona lata tylko w nocy. Widziałam taką przybitą nad stajnią. Ona zjada małe ptaszki. Małe ptaszki, jeśli ją teraz zobaczą, to ją zadziobią.

- Aoch! - powiedzieli z natężeniem obaj bracia. - A czy mały człowiek, Julek, i najmniejszy człowiek, Tadzio, którzy właśnie tutaj idą, przybiją ją do stajni czy zadziobią?

- Czy ja wiem, co zrobią? Idą tu ci smarkacze, istotnie - sarknęła Dyzia. -

Znowu mi będą wtykać chleb... Zjem przez grzeczność, ale już patrzeć na niego nie rnozę!

- Aoch! - szepnęły z oburzeniem byczki. - Chleb jest smaczny, a ona mówi, że już nie może!

- Dyziu! Dyziuchno! - wołali chłopcy, nadbiegając pośród trawy.

Z daleka migały ich podrapane, opalone łydki. W ręku trzymali duży kawał chleba, więc Dyzia skierowała w tę stronę spojrzenie niby obojętne, w rzeczywistości pożądlive. Ale nim stanęli przy niej, chleb upadł na ziemię...

- Co to jest?! - krzyknęli obaj.

- To sowa! Tadzio! To sowa! Zaniemiemy ją mamusi!

- Bardzo śmieszna taka sowa, zaniemy ją prędko. Pobiegli zapomniawszy o

chlebie. Jednym ruchem długiego, szorstkiego ozora zagarnął go Horacy i przeżuł ze smakiem.

- Parobku! - kwiknęła Dyzia, obracając się tyłem z wściekłością, gdy Hugo i Horacy odchodzili bez pośpiechu, pomrukując z głębokim zadowoleniem wewnętrznym.

W domu zeszli się wszyscy, by oglądać sowę.

A była ona prześliczna. Skrzydła miała pokryte od spodu i z wierzchu puchem srebrnym i miękkim jak mgła. Dużą okrągłą głową obracała dookoła, jak gdyby osadzoną na śrubie. Wielkie oczy otaczała poczwórna kryza z drobno karbowanych piórek, obrzeżonych czarnym paskiem. W śnieżnej wspaniałości kryzy chwiały się brunatne rzęsy, delikatne i puszyste niby mech. Ale ukryte w tej puchowej bieli oczy błyszczały zimnym, żółtym światłem, a schowany w pierze dziób był zakrzywiony złośliwie.

Z początku oszołomiona światłem dziennym sowa nie wiedziała, co się dzieje, i bez oporu dała się dzieciom zanieść do domu. Ale w pokoju blask słońca mniej raził; uchyliła oczu i zobaczyła kilkoro rąk koło siebie.

„Teraz mnie rozerwą, jak ja rozrywałam szczygły - pomyślała i w przerażeniu poczęła bić dziobem i drapać straszliwymi pazurami, tak że musiano ją okręcić w gruby ręcznik kąpielowy, z którego sterczała tylko jej głowa, zła i nastroszona.

Rozrywać jej nikt nie myślał. Chłopcy ze swoją mamusią i ciocią Marychną zanieśli ją na strych i włożyli do dużego kosza, gdzie miała spokojnie czekać do wieczora. Ten duży, pusty kosz nie pierwszej sowie służył za przygodne mieszkanie. Przez kilka tygodni był sypialnią starego i mądrego jeża, którego, pokaleczonego przez kosiarkę, przyniesiono kiedyś z pola. Potem mieszkał tam zajac, potem sojka i

dwa młode wróble.

Sowa wciągnęła w siebie miły zapach dziczyzny i lasu i odetchnęła swobodniej. Kosz zamknięto, na strychu zaległa zwyczajna cisza.

Przez drobne otwory w plecionych ścianach kosza wpływało dosyć powietrza, ale było w nim prawie ciemno. Ptak rozprostował się z ulgą i dziobem głaskał wygniecione puchy. Oczy chore, zapuchłe od światła, nabierały ponownie blasku i żywości. Odpędzając nadchodzącą senność, sowa z ciekawością sroki rozglądała się przez szpary kosza dookoła.

Strych był duży i przestrzenny, zawieszony białymi płatami bielizny. Dwa wesołki siedziały okrakiem na małym okienku, przekomarzając się z kotką Miauliną, której przeszkadzały dostać się do kociąt. Ale kotka zgniewana plunęła przez zęby, skoczyła ponad stworkami i przypadła do dzieci.

Sowa obróciła się w przeciwną stronę. Jakże dziwnie przeblyskiwało tam coś pod belką! Jakieś małeńkie, błękitne światełko, wcale nie rażące... I nie wiadomo dlaczego światełko to zwróciło nagle całą baczność przebiegłego ptaka. Krągłym, przenikliwym okiem jęła sowa rozpatrywać każdy szczegół, wyraźnie widzialny dla niej w ciemnościach, aż nagle - pióra stanęły jej na grzbiecie z ciekawości: bo oto pod dużą, wystającą belką było właśnie mieszkanie podciepka Kacperka.

W wąskiej szczelinie znajdowało się posłanie, ułożone z miękkich, barwnych gałganków, które lubujący się w żywych kolorach skrzatek gromadził sobie przez lata. Niektóre były bardzo, bardzo stare, przeblyskujące gdzieś tam szerniącą nitką spłowiałego złota; niektóre nowe zupełnie, zebrane w ostatnich tygodniach.

Koło posłania gliniana polepa wyłożona była srebrnymi papierkami od czekolady, przyciśniętymi na rogach różnobarwnymi kamyczkami i szkłem.

Ale blask nie od tego papieru pochodził. Cóż to świeciło tak niebiesko pośród szmatek? Pora robaczków świętojańskich dawno już minęła... Czyżby?... Nie, to niemożliwe. Cokolwiek by to było, sowa postanowiła nie opuścić strychu, dopóki sprawy nie zbada, po czym zasnęła spokojnie, bo każda sowa musi spać w dzień, chociażby nie chciała.

A teraz, kiedy ona śpi, ja powiem wam, co to tak świeciło. To świeciło mam!

Maru, najcenniejszy skarb każdego skrzata. Stała się rzecz okropna: maru leżało ukryte w pośłaniu, a Kacperek, podejmowany gościnnie w gołębniku, powiewając dużym uchem bez kolczyka, rozsądzał, ile godzin ma Filon siedzieć na jajach, a ile Laura.

A dlaczego tak się stało?

Oto Kacperek, choć był mądry i roztropny, stał się na starość wielkim wygodnickim, a zamiłowanie do wygody gubi często ludzi - i skrzaty też. Trzysta czternaście lat nosił kolczyk w uchu i dobrze było, a teraz nagle zaczął mu on zawadzać: ucho obciążał - choć to ucho umyślnie ze względu na kolczyk było duże i grube jak ucho prosięcia. To, przeglądając się w lustrze, zauważył, że mu broda z tej strony przyżółkła, to w ogrodzie zaczepiał ciągle kolczykiem o krzaki, dość że od czasu do czasu wyjmował go i chował na dzień w pośłanie. Był bardzo bezpieczny i pewny, że w całym domu nie ma nikogo, kto był się poważzył dotknąć jego skarbu, a z obcych nikt nie mógł wejść bez jego wiedzy. Niejednokrotnie już to robił i nic się nie stało.:. Ale teraz przyszedł straszny dzień, że obce, żółte, chciwe oczy patrzyły na płonący błękitnym blaskiem talizman, a Kacperek, podejmowany suto w gołębniku, siedział tam spokojnie i nic nie przeczuwał.

Ściemniło się już na świecie, kiedy chłopcy, ich mamusia i ich ciocia przyszli

ze świecą na strych. Sowa dawno już nie spała, wpatrzona w niebieskie światelko, do którego chciała dostać się za wszelką cenę. Była już prawie pewna, że to jest maru podciepka; dziwne, tajemnicze maru, o którym wciąż marzy Sato. Porwać je i zanieść do Ciemnego Lasu - co za radość! Co za duma! Przerwał jej te myśli oślepiający blask świecy; ciężki ręcznik spadł na grzbiet. Spowitą wzięto na ręce i zaniesiono na otwarte okienko strychowe. Z ciemnej głębi wionął szum drzew i pluskot rzeki za ogrodem. Góry zdawały się srebrne i bardzo dalekie - a wyżej granatowe niebo skrzyło się gwiazdami.

- Leć, biedna sowo, do domu! - powiedziała ciocia Marychna, stawiając uwolnioną sowę na futrynie.

Ptaka zawahał się chwilę, co robić, rozwinął wielkie skrzydła, które wydały się srebrne jak te góry dalekie, cicho, bez szelestu odleciał w głąb nocy i zniknął sprzed oczu patrzących.

- Już jest pewnie w swoim domu - zauważył Tadzio, kiedy schodzili ze schodów.

- O, z pewnością, i cieszy się bardzo - dodała jego mamusia, zamykając drzwi starannie.

A zła sowa cieszyła się rzeczywiście, ale bynajmniej nie była w swoim domu.

Zatoczyła wielkie koło, żeby oszukać patrzących, i cicho, ostrożnie wróciła na dach.

Podsunęła się do opuszczonego przed chwilą okienka i zaczęła bacznie nasłuchiwać - a sowa słyszy wszystko doskonale. Na strychu było pusto. Kroki dzieci już dawno ucichły na dole. Nietoperze wszystkie szukały kolacji na dworze. Kocięta spały skulone. Były maleńkie, ślepe i tłusciutkie, ale sowa nawet nie spojrzała w ich kierunku. Cicho jak duch wpadła na strych, ku belce oświetlonej błękitnym

płomykiem.

Zamknęła oślepięte oczy, ale je otworzyła zaraz mimo bólu i od radości aż zaszumiało jej w głowie: maru leżało pod szmatką, bez straży niczyjej. Po omacku, na oślep schwyciła mocno w dziób kolczyk zaklęty; otworzyła oczy - blask już jej teraz nie raził i wyfrunęła przez okno, unosząc z sobą talizman.

Kacperku, Kacperku! Nieoględny skrzacie! Cóż się z tobą teraz stanie?

Jedenasta dochodziła, kiedy znużony i senny Kacperek wracał na swoje posłanie. Po długiej wizycie u gołębi zatrzymał się w kuchni, gdzie musiał znów godzić spory zapalczywych igiigi. Igiigi, istotki w ogniu i iskrach żyjące przez króciutką chwilę - są niesłychanie swarliwe, wiecznie się pożerające. Nieraz zdumiewała Kacperka zapalczywość ich ambicji, krwawe boje, które toczyły z sobą zawzięcie, mimo że ich życie trwało tak krótko. Wszakże nim zdążyły zwalczyć się wzajemnie, zrzucić jednego wodza lub obrać drugiego - już ginęły rozwiane w dym albo rozsypane w popiół. Te, które zaczęły walkę, dawno już znikły, a młode igiigi, świeżo narodzone, rzucały się skwapliwie do boju, nie pojmując naprawdę, o co chodzi, po czym ginęły z kolei, a przychodziły najmłodsze - i tak trwały walki całymi pokoleniami, choć żaden z walczących nie wiedział, o co się właściwie bije.

Kacperek nie miał zwyczaju mieszać się w te sprawy, o ile igiigi załatwiały swe spory u siebie i nie wydmuchiwały kłębow aymu na środek kuchni czy pokoju; tylko wtedy występował, ale już stanowczo.

Wymógłszy na igiigi minutowy rozejm, zjadł smaczną wieczerzę i siedział rozmarzony przed ciepłym piecem kuchennym, patrząc na zabawne skoki smolików w pace z węglami. Wielki pies Rolf, płowy jak lew i jak lew mocny, spuszczonej na noc z łańcucha przyszedł do kuchni po wieczerzę i poważnie leżał przed ogniem.

Czuł swoją wartość nieustraszonego, wiernego stróża obejścia i reszta psów, kanapowe wycirusy, obchodziła go z daleka z szacunkiem. Wstydziło je własne darmozjadztwo wobec tego twardego robotnika o szorstkiej i spłowiałej sierści. Kacperek usiadł między jego łapami i zamyślili się obaj, patrząc na gasnący ogień... W kącie kuchni Kasia kucharka mełła dobrą, pachnącą kawę na jutrzejsze śniadanie, a Frania, pomywając, śpiewała półgłosem. Dobrze było... Kacperek zasnął tak mocno, że kiedy się ocknął, wokoło było już ciemno. Dziewczęta spały, Rolf trzymał wartę conocną na dworze. Podciepek z niezadowoleniem podniósł swą latarkę i z wolna poszedł na górę.

„Jestem tak zaspany - pomyślał na strychu - że nie mogę trafić do swego posłania.”

Nie widział bowiem nigdzie niebieskiego światełka spod belki. Skierował się w prawo, to znowu w lewo, schylał lub przekrzywiał głowę - ale nie świeciło nic. Więc ogromnie zadziwiony, świecąc maleńką latarką, obchodził strych dookoła, aż dotarł do swego mieszkanka.

Przetarł oczy i osłupiały siadł na polepie przykrytej srebrnym papierkiem od czekolady. Dlaczego maru nie świeci? Drżącymi ze wzruszenia rękami zaczął rozgarniać gałganki i nagle aż spotniał cały, a włosy zjeżyły mu się ze strachu na głowie.

My wiemy już wszyscy dlaczego: oto talizmanu, kolczyka maru, skarbu najdroższego - nie było!

Nie było! Nie było! Nie było!

Darmo przerażony podciepek przerzucił całe posłanie, darmo je roztrząsał i badał. Kolczyka nie było. Zabrał go ktoś - nie wiadomo kto i dokąd. Bezwładny i

przerażony skrzat usiadł na podłodze wśród porozrzucanych szmat, na próżno starając się zebrać oszalałe myśli. Kto zabrał talizman? Ktoś z domowych?... Chyba dla głupiego żartu! Ktoś z obcych?... Nikogo przecież obcego nie było!

- O maru! Maru! - Kacperek zawył boleśnie i ogarnięty strasznym żalem zaczął wrywać sobie włosy z brody, aż rzadkie, siwe kłaczki leciały na ziemię.

W zamku ciężkich drzwi strychowych bystre oko małego kluczka spoglądało na tę rozpacz ze zdziwieniem.

- Słuchaj, bracie! - zawołał, zobaczywszy go, Kacperek. - Kto chodził dzisiaj na strychu?

Kluczyk przysiadł wygodnie, by zebrać myśli, które u tego rodzaju stworzeń nie skupiają się w mózgu, ale są rozproszone po całym ciele.

- Nikt - rzekł w końcu, bo był stary i miał krótką pamięć.

- Nie może być! Musiała chodzić kotka.

- Kotka chodzi zawsze przez okno - odpowiedział kluczek. - Ale... poczekaj no trochę: jeżeli się nie mylę, chodzili tam jacyś ludzie...

- Ludzie? Którzy?!

- Chodzili chłopcy mali i obie kobiety, które czuć zawsze psem i czekoladą...

Razem byli rano i zeszli, byli wieczorem i także zeszli.

- To nie oni - westchnął skrzat. - Nikogo więcej nie było? Na pewno?

- Nikogo a nikogo - uroczyście odparł urażony kluczek, a Kacperek

zawróciwszy jął badać ponownie każdy kątek strychu. Wsuwał się pod belki i zaglądał w szpary. Obudził wszystkie myszy, zwołał wszystkie nietoperze, zmusił do rozmowy uśpione w swoich gniazdach osy, wywołał łasiczkę, przesłuchiwał długo skórki, szczypawki, pająki...

Z oczu wypytywanych zwierząt patrzyło szczere zdziwienie. Nie, na pewno

żadne z nich nie widziało ani nie ruszało maru. Nie byłoby ruszyło za nic!

Kacperek wiedział, że zwierzęta nigdy nie kłamią, i strapienie jego rosło.

Błędnym krokiem zszedł ze schodów, a za nim pFzez cały dom leciała piorunująca

wieść, że skrzat zgubił maru. Jedne stworki i rjiestworki podawały ją drugim. Pająki

z góry pająkom z dołu, myszy ze strychu myszom spod podłogi, kluczek jeden wołał

do kluczka drugiego:

- Halo! Halo! Nasz skrzat zgubił maru!...

- Nie może być! - odpowiadał tamten i wołał co prędzej: „Halo!” do trzeciego.

Kacperek słyszał to wszystko i wstyd razem z boleścią zalewał mu duszę

znękaną.

„Jednakże tu musiało być obce stworzenie” - pomyślał, gdy następnego dnia o

świecie siedział na rozrzuconym posłaniu, niepodobny do żadnego żywego

stworzenia, a cóż dopiero do skrzata z porządnego domu!

Ubranie było pełne kurzu i pajęczyn, twarz i ręce powalane sadzą, oczy

czerwone od łez, włosy wyrwane z rozpaczny niemal do szczętu. Ktoś obcy był - ale

kto?! Po raz setny zaczął obchodzić dookoła strych. A nuż wszystko to było złym,

okropnym snem - i maru, najdroższe, ukochane maru zabłyśnie ku niemu wesoło

spod belki...

Ale nic nie błyszczało oprócz łez, które wolno kapały z oczu biednego, starego

Kacperka i świeciły chwilę, zanim wsiąkły w polepę.

W wędrówce swojej skrzat napotkał kosz, zwany Przytuliskiem. Zawartość

jego przejrzał poprzedniego wieczoru i nic w nim nie znalazł; kosz pachniał jeżem,

zającem, sojką i młodymi, nieporządanymi wróblami. Jednakże Kacperkowi wydało

się teraz, że czuje jeszcze nowy, obcy zapach. Wdrapał się do wnętrza i wciągnął głęboko powietrze. Jakaś woń łaskotała jego stare nozdrza, woń ledwie uchwytna, której nazwać nie potrafił. Kacperek pobiegł więc prędko do Bekasa.

- Na strych?! - zawołał Bekas. - Pójdę, owszem - i mlasnął ochotczo językiem.

- Nie jest ładnie wypijać mleko kotom - zauważył łagodnie Kacperek - ale tym razem udam, że nie widzę, byłeś mi w biedzie dopomógł. Jesteś Wielki Łowczy i nikt w całym domu nie ma nosa, który w doskonałości mógłby się z twoim porównać...

Powiedz mi, kto siedział ostatni w tym koszu?

Bekas obszedł kosz dookoła, odmuchując szpary, a skrzat z natężeniem śledził jego ruchy. Potem wyżeł wszedł do środka podrzucił nosem siano, wyskoczył i usiadłszy zamyślił się, starannie drapiąc lewe ucho.

- I co?

- Był tu wczoraj ptak. Ptak bardzo śmierdzący. Aż wierci w nosie. Jest pierze i jego gnój. Ptak, który jada mięso. Był niedawno - rzekł mądry znawca stanowczo i pobiegł, gdzie stała zwykle miska kotów.

- Ptak? Ale jaki?

- Ptak duży i śmierdzący. Cóż więcej mogę wiedzieć? - odparł wyżeł opryskliwie, bo w misce nic jeszcze nie było. - Ani kuropatwa, ani przepiórka, ani bażant, ani dzika kaczka. A reszta co mnie obchodzi? - dodał wychodząc ze strychu.

Zatem był tutaj ptak obcy i drapieżny (bo tylko drapieżne ptaki jedzą mięso) -

a on, Kacperek, nic o tym nie wiedział! Ładnie pilnował domu - nie ma co! Nikt inny, tylko ten ptak tajemniczy musiał go ograbić z najdroższego skarbu. Ale kim był ten przeklęty rabuś, skąd się tu dostał i dokąd poleciał?

Wdrapał się do kosza i wyszukał pierze, o którym mówił mu Bekas. Ach,

naturalnie, to nie mogło być pierze ani sojki, ani wróbla. Było duże, puszyste, srebrnego koloru. Kacperek wziął je ostrożnie i poszedł wypytywać wszystkich domowników, czy nie wiedzą, do kogo mogłoby należeć. Pytał psów, indyków, kur, całego drobiu, pytał starych kotek, Mamaszy i Miauliny, które przecież dobrze znały się na pierzu, pytał myszy i szczurów - aż na koniec gruba, kara, wszystkowiedząca klacz Marta obwąchała pierze, prychnęła i rzekła:

- To jest pierze białej sowy, kochany Kacperku. Białe sowy mieszkają w lesie pod Rzybrzyczką. Niedawno Francek trzymał podobną za pazuchą... Popędź no mi, proszę, mojego żrebaka, bo ciągle z tyłu zostaje.

- Biała sowa była wczoraj na pastwisku i zabrali ją do domu - beknęła koza Hojdyszów.

Na podciepku skóra ścierpła.

- Popędź mojego żrebaka - dopominała się Marta.' Kacperek cisnął grudką ziemi w szcudłowaty zad żrebięcia, a potem usiadł na trawie i rozplakał się jak bóbr.

Sowa leciała z kolczykiem mocno zaciśniętym w dziobie; hukałaby z radości, gdyby mogła. Niosła maru, niesłychany, cudowny talizman! Jak wspaniale nagrodzi ją za taki dar Sato! Zawczasu układała sobie w głowie, czego będzie żądać.

„Tłuste myszy niechby przychodziły same każdego wieczoru pod drzewo...

Co największe ptaszki będą musiały siadać codziennie na najbliższych krzakach...

Będę gruba, zawsze najedzona, nic nie będę robić... - myślała. - Na głowie chciałabym mieć żółte i zielone piórka... Na brzuszku nieźle wyglądałyby czerwone kropki... Będę dużo piękniejsza niż papuga, którą niósł od Skoczowa człowiek z grającym pudełkiem... Chciałabym mieć jeszcze ogon pawia... a może lepiej

bażanta?... Jakże cudowna byłaby sowa z brzuchem papugi, a ogonem pawia i bażanta razem!... Każdy będzie mówił: »Cóż to za prześliczna sowa! Skąd przysłała ta piękna sowa?...« Chcę jeszcze widzieć równie dobrze w dzień, jak w nocy... Chcę mieć gniazdo wysłane miękkim futrem kreta... a może lepiej łasicy?... Chcę mieć piecyk do wygrzewania jaj; nie będę potrzebowała wysiadywać ich sama... I co jeszcze bym chciała? O, bo Sato da mi wszystko, wszystko, czego tylko zapragnę...»

Już była w lesie i kierowała się nieomylnie wśród ciemności w stronę ogromnego głazu. Spod kamienia, przez szpary, przebłyskiwało niepewne światło próchna, przy którym biedne pieczarki musiały nieustrudzenie przekładać i liczyć dukaty. Na wierzchu kamienia Sato stał na rękach, wyciągając do góry ogon i próbując, czy uda mu się dostać nim do gałęzi, czy nie. Nie była to postawa odpowiednia dla groźnego strażnika złych skarbów, ale Sato z nudów nie wiedział już, co wymyślić. Na widok sowy twarz mu się skrzywiła, siadł na ogonie i krzyknął gniewnie:

- Gdzie byłaś? Nie pokazałaś się, kołtuniasta, zachrypła kumoszko, od przedwczoraj... Co to znaczy?!

Sowa nic nie mówiąc przypadła mu do nóg, bijąc pokłony bezszelestnymi skrzydłami.

- Jesteś wielki, jesteś piękny, jesteś mocny i potężny, Sato! - rzekła, ostrożnie złożony przed sobą skradziony talizman.

- Jestem istotnie piękny i potężny - mruknął szatanek, na wpół tylko uspokoiony pochlebstwem - ale ty jesteś obrzydliwym, głupim ptakiem. Jesteś głupsza od wrony, głupsza od kawki i sojki... Od sojki nawet jesteś głupsza - słyszysz, sowo?

Sowa nieczuła była na zniewagi.

- Jesteś wielki i piękny, o Sato - podjęła - ale musisz siedzieć nieruchomo przy żółtych krążkach, których pożądamy ludzie. Musisz pilnować żółtych krążków i nie możesz nigdzie odejść. Podciepek Kacperek z domu w Wielkich Górkach może chodzić, gdzie chce, wiedzieć, co chce, i być naraz w czterech miejscach...

- Milcz, wrzaskliwa sroko! - wrzasnął rozwścieczony Sato. - Podciepek Kacperek ma maru!

- Podciepek Kacperek nie ma już maru! - huknęła triumfalnie sowa, wytrzeszczając oczy, które zrobiły się teraz zielone. - Maru podciepka leży tutaj, przy twoim ogonie, o Sato...

- Maru podciepka tutaj?... Co ty pleciesz?

- Nie plotę, o panie! Ukradłam je na strychu, gdzie leżało pozostawione przez starego, niedołęznego skrzata. Porwałam je i przyniosłam. Oto ono - dodała, dziobem podając kolczyk zdumionemu Sacie.

- Oszukujesz mnie! - krzyknął. - Maru powinno świecić!

- Świeciło się, panie, pod belką, aż oczy mi puchły od blasku... i - Czemuż teraz nie świeci? - zapytał nieufnie, biorąc do ręki talizman.

- Sama nie wiem, czemu przygasło w chwili, gdy brałam je w dziób...

Niemniej jest to prawdziwe maru podciepka Kacperka...

- Maru powinno świecić i powinno być na nim wyryte czarodziejskie słowo:

Mikufikufikumiku... - mruczał Sato, oglądając ze wszystkich stron klejnot. - Światła!!

- wrzasnął w dół pod kamień.

Jeden z pieczarków wyskoczył co prędzej, niosąc w zmęczonej łapce drzazgę świecącego próchna.

- Weź od niego i świeć! - rozkazał Sato sowie. - A ty precz! Pieczarek zniknął,
sowa zaś, krzywiąc się niemiłosiernie, podeszła z małym łuczywkiem.

Na dziwnym, zielonawym złocie talizmanu majaczyły jakieś litery.

- Mikufiku... fikumiku... - przesyłabizował z trudem Sato. - Tak, to ono...

Sowa upuściła próchno i strzepnęła radośnie skrzydłami.

- Tak, to jest maru - powtórzył Sato, dygocąc cały z wrażenia. - Nie świeci
wprawdzie, ale niewątpliwie jest to maru podciepka Kacperka, teraz zaś moje!... O,
oddałaś mi wielką przysługę, mądra, biała sowo! Nagrodzę cię po królewsku.

Będziemy panować oboje nad tą okolicą... Dam ci, co zechcesz...

- Chciałabym mieć tylko zieloną głowę papugi, ogon pawia i bażanta razem,
brzuszek kropkowany czerwono, piecyk do wygrzewania jaj i widzieć w dzień, jak i
w nocy... - rzekła skromnie sowa, drżąc z uszcześliwienia.

- Będę biegał po całym lesie, a równocześnie widział wszystko, CO się dzieje
pod kamieniem; będę dusił młode wiewiórki i ptaki; będę się chował pod kładkę i
ludzi ściągał do wody za nogi - cieszył się Sato, kręcąc swym giętym ogonem.

- Chciałabym także, żeby tłuste myszy same przychodziły mi pod drzewo,
żeby małe, miękkie ptaszki siadały na mym drzewie... Chciałabym mieć dziupłę
wysłaną futerkiem - przypominała sobie jeszcze sowa.

- Będę w gospodzie pił piwo; będę namawiał gazdów do bitki przy wódce...

Będę krowom wypijał doskonałe mleko; będę straszył dziewczęta, pójdę aż do
Górek, do domu, i wezmę sobie stamtąd skrzata na pachółka - radował się Sato,
podskakując na kamieniu.

- Chciałabym być zawsze gruba i najedzona i chciałabym, żeby wszyscy
straszenie się mnie bali - dopominała się sowa.

- Będę spędzał na górę wszystkie sarny i zające, które stąd uciekły; będę je gonił i łapał... Będę ludzi naprowadzał do skarbu i skarb pokazywał, a potem przytłoczę ich kamieniem i zaduszę! - wykrzykiwał w uniesieniu Sato.

- Rano już! - jęknęła sowa. - Muszę się schować. Kiedy mi dasz oczy nie lękające się blasku, o wielki mój panie?

- Dziś wieczór - rzekł Sato z powagą. - Zaraz przekłuję sobie ucho i założę maru; przez dzień wypróbuję je i nauczę się z nim obchodzić. Wieczorem spełnię wszystkie twe życzenia... Jeśli się nie mylę, chciałaś mieć głowę bażanta, ogon papugi, a brzusek w zielone kropki?...

- Nie, panie! - zaprzeczyła spieszenie sowa. - Głowę zielonej papugi, ogon bażanta i pawia mieszany; brzusek kropkowany czerwono i piecyk do wygrzewania jaj, i futerko w dziupli, i...

- Dobrze, dobrze, powiesz mi to wszystko razem... Idźże teraz spać spokojnie...

Gdy znikła, Sato świsnął na swych zwykłych towarzyszy. Z chrzęstem rozginanych stawów złowieszczy awilo wychynął z zarośli. Miał wiecznie senny wygląd i białe, okrągłe, urokliwe oczy. Podgiął długie nogi i przysiadł koło kamienia, patrząc pytająco w rozradowaną twarz Sato.

- Gdzie reszta? - rzucił Sato niecierpliwie.

- Nie wiem... - odparł awilo niechętnie, gdyż nie lubił mówić. - Zdaje się, że chichotek z opryskliwcem poszli się kąpać do rzeki, ikoro wyjada grzyby, latopak gdzieś drzemie, żernik musi być w pobliżu... Po co mnie wzywałeś?

- Spójrz na to, co trzymam w ręku - odparł gorączkowo Sato. - Spójrz tylko, awilo. Czy słyszałeś kiedy o tym, co to jest maru?

Awilo łypnął białym okiem na znak, że słyszał, i to nieraz.

- Otóż tu jest maru! Moje maru! Moje własne! Będę teraz panem, będę miał władze i siłę! Będę mógł z wami wszystkimi robić, co mi się spodoba...

- Skąd je masz? Jak to wygląda? Pokaż! - zawołał awilo, którego niespodziewana wiadomość wyrwała ze zwykłej obojętności.

- Zobaczysz, gdy je założę do ucha - rzekł Sato nieufnie. - Wygląda jak każde maru, a przyniosła mi je z Wielkich Gór sowa, ta biała sowa, co się tutaj zawsze płacze... Głupi ptak! Gdybym znalazł maru, zatrzymałbym je dla siebie, ona zaś przyniosła je mnie i chce tylko w zamian jakichś kolorowych piórek... A ja będę miał władzę! Władzę! Co za słowo!!

Pod kamieniem w nagłym zgiełku podniosły się cienkie głosiki pieczarków.

To mały pieczarek przewrócił niechcący wysoką szachtę dukatów, mozolnie ustawioną przez najstarszego pieczarka, który wymierzał mu lanie.

- Milczcie tam, hołota! - krzyknął Sato ku szczelinie. - Mam maru i pozamieniam was wszystkich w purchawki!

Chóralny a żałosny pisk był odpowiedzią.

- Nie czyń, panie, tego! Ach, nie czyń tego! - płakały małe stworzonka. - Dla pieczarka być przemienionym w purchawkę to wstyd niesłychany.

- Jeśli nie będziecie cicho siedzieć i pracować, zmienię was w coś gorszego jeszcze niż purchawki - rzekł Sato wzgardliwie i zamyślił się, w co by je też przemienił.

Po chwili gwizdnął.

- Mam też o czym myśleć! Są ważniejsze rzeczy. Awilo, stare gapidło! Skocz no w dół, przynieś mi długi cierń; muszę sobie przekłuć ucho. Cierń ma być ostry i

cienki. Wybierz z tarniny, nie z głogu, bo tarninowe są dłuższe.

Biała sowa smacznie spała w swoim gnieździe, śniąc rozkosznie i zwycięsko, gdy o zachodzie słońca jeden z lękliwych pieczarków przypadł do dziupli i jął ją budzić, ciągnąc z całych sił za ogon.

- Kto tam? Jak? Czego?! - wołał rozespany ptak ze zdziwieniem.

- To ja... pieczarek - zapiszczało nieśmiałe stworzonko. - Mój pan woła... mój pan bardzo się gniewa... boję się mojego pana...

- Cóż mnie to obchodzi, że się boisz?! - krzyknęła rozgniewana sowa. - Chcesz, żebym ci pokazała, co to znaczy budzić sowę?!

- Mój zły pan woła Waszą Sowią Wielmożność.

- Mnie woła twój pan? - zapytała sowa.

- Tak, tak... Waszą Wielmożność. Mówił: „Niech tu sowa zaraz będzie...”

- Lecę! Idę! - krzyknęła sowa, roztwierając skrzydła. „Pocziwy Sato nie może doczekać się chwili, w której mnie nagrodzi, i przysyła po mnie umyślnie” - myślała.

Ale siedzący na głazie szatanek przywitał ją gradem obelg, gdy tymczasem awilo wykrzywił się obrzydliwie w szyderyczym uśmiechu.

- Co się stało? - zapytała przerażona sowa, zawisając na skrzydłach w powietrzu.

- Co się stało?! Ty wiesz dobrze! Chciałaś mnie oszukać, ty wiedźmo przekłeta! Chciałaś ośmieszyć mnie, Sata! To nie jest maru, to, coś mi przyniosła! To jakaś blaszka zwyczajna! Patrz, wisi w uchu i nic!... Nie ma żadnej władzy! Żadnej!!

- O panie! - jęknęła sowa. - Przysięgam ci, że to jest prawdziwe maru.

- Milcz! Cóż ty możesz o tym wiedzieć?! Prawdziwe maru! Skąd by być mogło? Jaki skrzat byłby na tyle głupi, żeby zostawić maru na strychu do

rozporządzenia pierwszej lepszej sowy?

- Sam widziałeś, panie, tajemnicze słowo: Mikufiku... fi...

- Kpię z twojego fikumiku! Słowo niby jest, ale nie świeci! Blasku nie ma! Siły nie ma!

- Świeciło, panie, na strychu...

- Gdyby świeciło na strychu, toby świeciło i teraz... Przyznaj się lepiej do kłamstwa od razu... Od początku nie mogłem uwierzyć, żeby sowa, zwyczajna, ogoniasta i dwunoga sowa, mogła zdobyć prawdziwy talizman - zauważył złośliwie awilo.

Srebrny puch sowy pociemniał od gniewu.

- Nie umiem oczami ściągać ptaków na ziemię i jestem istotnie tylko zwykłą sową, ale maru prawdziwe zdobyłam. Nie moja wina, że nie umiecie się z nim obchodzić... - rzekła z godnością, nastroszywszy pióra.

- Ach, ty się stawiasz jeszcze! - wrzasnął rozzłoszczony Sato. - Ja nie umiem się z maru obchodzić! Wiem za to dobrze, jak się obchodzić z przewrotnymi i krnąbrnymi sowami! Toteż powiadam ci: albo zginiesz marnie, albo zaraz polecisz do Górek szukać prawdziwego maru!

Sowa wybuchnęła płaczem.

- Tam nie ma maru! - wołała. - Maru jest tutaj, a tam mnie zabijają!!!

- Niech zabijają... Mała szkoda! Awilo! Idź za nią! Jeśliby nie chciała lecieć, sprowadź ją oczami do mnie...

- Lecę, panie - pokornie odrzekła wylękła sowa, a Sato został sam, tak zły, że biedne pieczarki drżały ze strachu, przekładając nieustannie mdlejącymi ze zmęczenia łapkami złote dzwoniące dukaty.

Nie minęły jeszcze dwie godziny, gdy sowa, na wpół żywa z wyczerpania i mokra od rosy, wróciła z wyprawy i opuściła się nie opodal kamienia, rozglądając się z trwogą dokoła. Zza pleców Sata chudy, płaski pysk żernika spoglądał na nią drwiąco, a ikoro leżał obok głazu na podściółce z zeschniętych igieł. Sprawa maru była mu zupełnie obojętna i leniwo przeżuwał czerwone, tłuste muchomory. Zmęczona sowa odetchnęła z ulgą, widząc, że nie ma awila, bo senny ten potwór wzbudzał w niej największą trwogę.

- I cóż? - zagadnął ją chrapliwie Sato.

- Byłam w Górkach, panie - odrzekła strwożona. - Wleciałam aż na strych, widziałam podciepka Kacperka. Jest zapuchnięty od płaczu, oberwany i brudny. Nie ma maru, nie ma go na pewno. Siedzi i płacze w tym miejscu, skąd mu je zabrałam. Cały dom tylko o tym mówi. Oni wiedzą już, że sowa maru zabrała, nie wiedzą tylko, która. Podśluchałam, co mówią gołębie, podśluchałam, co mówiły psy, a także, co mówiły pszczoły... Maru jest u ciebie, panie.

- W takim razie jest ono niezupełne! - syknął z pasją Sato. - Głupi ptaku, część wzięłaś, a część zostawiłaś! Kto wie zresztą, czy ta druga część nie jest schowana u ciebie - mrucał z wściekłością, splatając warkoczykowato długie i mocne źdźbła trawy.

- U mnie?! - krzyknęła z oburzeniem i urwała, bo nagły świst przeszył powietrze. Pętla upleciona z trawy spadła jej na szyję i biedny ptak trzepotał się już rozpaczliwie w pazurach złośliwego Sata.

- Mów prawdę albo cię zaraz rozszarpnię!!! - ryczał dusząc ją na poły.

- Puść mnie! Puść, panie! Nic nie wiem! - rzeziła nieszczęśliwa, umierając z trwogi. - Och, gdybym wiedziała! O przekłete maru! Po cóżem je brała! Puść mnie!

Co ci po mej śmierci, wielki, straszny panie?!

- Czy polecisz jeszcze raz do domu dowiedzieć się, czego brakuje do maru, czy nie? - syczał Sato, drąc pazurami jej srebrzyste pióra.

- Polecę, och polecę! Puść mnie! Polecę dzisiaj wieczorem!

- Wieczorem? Myślisz, że będę czekał do wieczora?! Teraz! Zaraz polecisz albo ci skrzydła wykręcę!

- Nie mogę teraz, bo już rano blisko!

- Jeśli się pośpieszysz, to zdążysz... Lecisz, czy mam ci od razu łeb skrócić?

- Puść mnie! Już idę! - wyjęczała sowa i wyrwawszy się z płaczem ze strasznych rąk Sata, poleciała z największym wysiłkiem ku Górkom.

Wygląd jej był opłakany. Srebrzyste pióra zmięte i zbrudzone zwisały

bezwładnie po bokach; z rozdartej piersi kapiała krew, znacząc na mchu ślad jej lotu.

Nękał ją głódbo od półtorej doby nie miała nic w dziobie - a w uszach huczało z bólu i zmęczenia.

Po cóż, ach, po cóż ruszała tajemniczy kolczyk, przyczynę całego nieszczęścia!

Co począć teraz? Czy nie lepiej byłoby udać się do skrzata, wyznaczyć mu wszystko i prosić o pomoc?

W sinym brzasku letniej nocy zamajaczyły strome ściany domu i zgłodniała,

zboleła, umęczona sowa przysiadła na dachu, aby zebrać myśli. Czujny jej słuch był przytępiony zmęczeniem i głodem, a bystre oczy zalane krwią.

Po dachu, nie czyniąc szmeru miękkimi łapami, skradała się do niej kotka

Miaulina. Była pewna, że sowa czyha na kocięta - toteż zielone jej oczy płonęły

odwagą bez granic. Plując skoczyła z tyłu znienacka na sowę i potoczyły się obie do rynny. Ogłuszona i podrapana sowa straciła przytomność i ciężko upadła na ziemię,

łamiąc oba skrzydła. Kotka wróciła triumfalnie do swoich dzieci.

A właśnie robił się dzień.

„Koniec mój nadszedł” - pomyślała sowa, słysząc głosy budzących się ptaków.

Czuła się niezmiernie znużona i biedna. Leżała w inspektach na kupie kompostu, w jasnych promieniach wschodzącego słońca. Błękitne muchy zaczęły z brzękiem krążyć wokoło jej pobitej głowy, a na widok ich każde zwierzę wie, że śmierć nadchodzi. Duże mrówki wchodziły śmiało na srebrne puchy, leżące na brudnym nawozie. Wśród wrzawy ptasząt i radości świtu skonał biedny ptak nocy... Wszystkie psy zebrane były pod podjazdem, gdy zapłakany Kacperek zszedł ku nim na naradę. Bekas węszył właśnie cudowne wonie dolatujące od kartofliska, od gór, od lasu i z kuchni. Młody Topsy z beztroską kłapał na muchy zębami, gdy Miluś, trzęsąc się i chwiejąc na starych, krzywych nogach, opowiadał po raz setny swoje przeżycia wojenne. Nikt go nie słuchał i słuchać nie chciał. Tyle już razy opowiadał to samo, tym samym jękliwym skowytym... Zresztą tamte dwa psy były młode, znały tylko pogodne góry beskidzkie i krwawe historie Milusia wydawały im się bardzo nieprawdopodobne. Tylko Szpic, ponury i zgorzkniały domokrażca, udawał, że słucha z uwagą, by zaskarbić sobie względy sędziwego emeryta.

- Przyjaciele - zaczął skrzat, siadłszy między nimi - nie będę tracił czasu na gadanie długie, godne ludzi, lubiących mówić dziesięć słów zamiast jednego. Nie mam maru! Pozwoliłem je zabrać i każdy z was ma prawo mnie zelżyć w sposób jego naturze właściwy. Nie obruszę się na pewno. Jestem winien. Ale za moje niedołęstwo nie może płacić cały dom. Bez maru jesteśmy wydani na pastwę każdego wroga. Ten, kto zabrał maru, może każdej chwili zagospodarować się w

domu i...

- Któż je zabrał?! - zapytał groźnie Topsy.

- Zabrała je sowa z Rzybrzyczki, ta, którą dzisiaj chowano. To przyjaciółka Sata ze Złotego Kamienia. Ptak ani zwierzę nie potrafi nosić maru: musiała więc zabrać dla niego.

- Powinszować... - mruknął Bekas, wygryzając pchły z ogona.

- Jestem stary i niedołężny, tyle wart bez talizmanu, ile naga glista ziemna.

Niemniej pójdę sam po moje maru na Rzybrzyczkę. Albo je odbiorę, albo zginę - rzekł z mocą mały podciepek, a psy słuchały z uznaniem.

- Teraz mam prośbę do was, towarzysze - podjął po chwili milczenia - a właściwie do jednego... Topsy! Ty lubisz chodzić i jesteś odważny?

- Ja? Także pytanie - zaperzył się młodzik. - Myślałby kto, że nie mieszkamy razem już blisko od roku! Ja jestem strasznie odważny! Jestem odważny... po prostu jak lew! Najtęższych rowerzystów chwytam zębami za tylne koło i przewracam!

Moim paniom już ze cztery razy za to nawymyślano... Tak samo rzucam się na cielęta i najgrubsze nawet świnię... O, moja odwaga to jest odwaga!

- Zanieś mnie więc na Rzybrzyczkę... Noc minie, zanimbym się tam dowlóknął piechotą...

- A kto jeszcze pójdzie? - spytał Topsy z niepokojem.

- Nikt więcej, tylko ty i ja... Dziś, gdy się ściemni...

- Ście... ściemni?... Fatalnie się składa, mój biedny Kacperku. Czyż nie wiesz, że ja po nocy bardzo niedowidzę? Mówiłem nawet moim paniom, żeby zamiast obroży kupiły mi okulary... ale co z ludźmi? Oni nic nie rozumieją... Jakże mi przykro... Doprawdy...

- Miluś! Ty byś mnie nie zaniósł?

- Ach - westchnął Miluś - nie opowiadam o swej odwadze tak jak Topsy, ale kiedyś byłem mężny... Zaniósłbym cię, przyjacielu, ale moje pchły nigdy się na taką wyprawę nie zgodzą...

- Czyż słuchasz swoich pcheł? - krzyknął z gniewem Kacperek.

- Niestety, cóż począć? Jestem taki słaby, a ich jest tak dużo, że raczej one mnie noszą, niż ja je noszę. Muszę się więc z nimi liczyć i postanowiliśmy raz na zawsze działać we wspólnym porozumieniu.

- Ahuuu! - zawołał nagle Bekas. - Któż by z tobą poszedł jeżeli nie ja, Wielki Łowca nocny! Na Rzybrzyczkę, na Czubel, na Czantorię nawet... Ale cóż? Zaledwie zmierzchnie, zamkną mnie w gorzelnii - właśnie dlatego, żebym po polach nie biegał - i nie wypuszczą aż rano.

- Nie daj się zamknąć!

- Łatwo ci powiedzieć: nie daj! Zuzia mnie złapie, jak tylko przyjdę na kolację...

- Nie idź na kolację!

- Jak powiedziałeś? Nie idź na kolację? Ależ ja będę strasznie głodny, mój Kacperku! Ja nie wytrzymam, na pewno...

- Bekasie! - zawołał podciepek błagalnie - zanieś mnie na tę górę... przebiegniesz gęsty, ciemny las... wytarzasz się w chłodnej rosie... wytropisz zająca, bażanta i lisa... Czyż dla tego nie warto poświęcić wieczerzy?

- Au! Au! Warto...

Tak rozmawiali pod gankiem nie przeczuwając, że w Ciemnym Lesie

Rzybrzyczki podobna się toczy narada. Sato, otoczony dworem, siedział na swoim

kamieniu i myślał głęboko, co robić. Sowa nie wróciła, a wysłany na zwiady latopak zdołał się tylko tyle dowiedzieć, że zdechła. Potwierdził jednak wiadomość, że Kacperek nie ma maru. Dlaczego zatem jest ono bezsilne? Co począć, aby przywrócić mu władzę?

Padały różne zdania, bo żadnemu z obecnych nie przyszła do głowy prawdziwa przyczyna: maru istotnie było niepełne; do jego władzy brakło wszak uczciwego serduszka podciepka i niestrudzonej jego dobrej woli.

- Nie znamy jakiegoś zaklętego słowa, które należałoby podsłuchać w domu - dowodził drzewny chichotek.

- Najlepiej będzie zapytać się kogoś... Ale kogo? - westchnął opryskliwiec.

- Obiec las wokoło i tupnąć siedem razy; może to pomoże... - zauważył ikoro, którego rozum był w nogach.

- Milcz, głuptasie, bo ci tupnę dwadzieścia dwa razy! - syknął Sato z gniewem.

- Czy żaden z was nie ma dla mnie lepszej rady?

Wiecznie senny na pozór, z martwymi oczami awilo przemówił obojętnym głosem:

- Ja dam dobrą radę: iść i porwać skrzata.

Po tych śmiałych słowach cisza zaległa przez chwilę.

- Tak - powtórzył Sato - iść i porwać skrzata... Heja! Heja! - wołał zrywając się z miejsca. - Dalejże! Prędezej! Ty pójdziesz, awilo! Ikoro zanieś cię pod same Górki, a latopak polecą jako wywiadowca! Przynieście tu skrzata koniecznie! Żywego! Musi powiedzieć, co brakuje maru, a gdy już powie, rzucimy starego osła do potoku...

Ikoro, bestio ciężka, wypłuj już te grzyby! Do dzieła! Do dzieła! Czy trafisz, awilo?...

Księżyc wyszedł zza chmury, wypłynął ponad Równicę i patrzył zdziwiony

na niezwykle widok: jasną drogą pędził ciężki jednorozec. Był trwożny, bo nigdy dotąd nie opuszczał lasu, i oglądał się lękliwie na swój długi, długi cień.

Podkurczywszy na jego grzbiecie nogi, senny awilo wlepił w srebrzystą tarczę księżycyca swoje martwe, białe oczy - i tak lecieli przez uśpione, ciche pola ku bielejącemu z daleka domowi.

- Bekas! Bekas! Na kolację! - wołała z progu domu Zuzia, trzymając miskę w rękę. W gęstych krzakach jaśminu Kacperek rozpaczliwie obejmował wyżła za szyję i zachęcał do wytrwania.

- Nie pójdziesz, prawda? Nie pójdziesz - szeptał mu do ucha.

- Nie, bądź spokojny, nie pójdę - i zmarszczył czoło na znak niezłomności.

- Bekas! Na tu! Na! Beekaas!!!

- A może bym poszedł, prędko zjadł i uciekł?...

- Za żadne skarby! Nie idź, przyjacielu!

- Bekasek! Beeekaaasek! Chodź, piesku! Kolacja!

- Oj, Kacperku miły, pójdę...

- Nie idź, Wielki Łowczy! Wytrzymaj, niebożę...

- Bekas, pieronie! Idziesz tu czy nie?

- Pójdę tylko powąchać z daleka, czy dobre... - jęknął wyżeł, dając susa ku domowi.

- Wszystko stracone! Pójdzie do gorzelni! - zapłakał Kacperek, wybiegając za nim na plac zalany księżycem. Przystanął, bacznie nasłuchując dolatującego z kuchni chciwego mlaskania. „Może zdoła uciec” - pomyślał i... nagle przerażenie odjęło mu mowę. Jakieś lepkie ramiona ścisnęły mu gardło i uniosły go w górę.

- Zjadłem i jestem!... Kacperku! Gdzieś ty? - zawołał Bekas, wyskakując z sieni

jak ciemna sprężyna.

- Tu!... Porwany!! - pisnął skrzat i zamilkł, na wpół zduszony.

Ale pies zdążył zobaczyć potwora i ruszył w pogoń, zachłystując się z wściekłości.

- Rolf! Szpic! Topsy! Alarm! Alarm! Aaalaarm! - wołał pędząc za zbiegiem, ile sił starczyło.

Lecz awilo rozgiął swoje długie nogi i sadził w susach straszliwych. Już dopadł grzbietu ikora! Już mijał folwarczne opłotki! Już zniknął i tylko latopak śmiał się gdzieś w górze szyderczo.

Trudno opisać przerażenie i rozpacz, które ogarnęły dom na wieść o porwaniu skrzata. Jak świat światem, nie słyszał nikt o takiej okropnej historii.

Wszyscy drobni mieszkańcy domu zeszli się na schodach, bezradni i zrozpaczeni.

Co robić? Co im groziło? Zostali przecież bez głowy i bez opieki. Najpierw zginęło maru, a teraz sam skrzat. Co to będzie?...

Z każdego kąta czyhało coś - groźne i nieznane. Czy złe moce z Ciemnego

Lasu nie zechcą przywłaszczyć sobie domu, a ich, spokojnych domowników,

wypędzić precz, w pole? Może nawet już podchodzą?... Którędy wejdą?... Aż ze

strachu igiigi zapomniały o swoich sporach. Kanapony, które od szeregu lat nie

wychodziły ze swych kryjówek, zeszły się teraz wszystkie i okrągłe piruski patrzyły

ze zdziwieniem na ich płaskie, wyschłe ciała, w których świeciły tylko pożądliwe, na

długich, ruchomych słupkach osadzone oczy. Myszy biegały w kółko jak pijane, a

Miaulina przyglądała się im obojętnie. Cóż znaczyły myszy, cóż znaczyło wszystko

wobec tego, co mogło nastąpić za chwilę...

- A gdybyśmy się poradziła anioła, co robić? - rzekł nagle najodważniejszy ze wszystkich szczypiorek.

Umilkli, bo wprawdzie każdy czuł, że rada jest dobra, ale każdego lęk przejmował na myśl o przemówieniu do niebieskiego wysłańca.

- Ja nie mogę - pluknął akwadon, choć go nikt jeszcze nie wysłał. - Umiem rozmawiać tylko z moją beczką.

- Jesteśmy za mało poważne - zauważyły piruski - ale możemy przyłączyć się do poselstwa...

- Psy... Psy niech idą!

- Psów nie ma. Są jeszcze na dworze...

- Niech kotki idą!

- Niestworki niech idą!

- Nie kłóćcie się! Chodźmy wszyscy razem! Stary kluczek będzie mówił...

- Kto? Ja? - zazgrzytał powykręcany kluczek z wielkich drzwi wchodowych.

- Ty, ty! Ty jesteś prawie tak stary jak Kacperek...

- Zardzewiałem i nic nie powiem, chyba że dacie mi oliwy...

- Nie ma czasu na oliwę, ale możesz polizać palnik od lampy w pokoju - doradził życzliwie jeden z kanaponów.

- Idziemy! Idziemy!

Weszli i padli na twarz przed Tanemą, który nad dziećmi trzymał straż tej nocy.

- Wasza Jasność... - zazgrzytał naftowo stary, pokręcony kluczek Wasza

Jasność! Złe Moce z Ciemnego Lasu porwały podciepka Kacperka... Nie wiemy teraz, co robić, i boimy się ogromnie...

- Boimy się bardzo - jęknął tłum stworzonek. Zamyślony anioł podniósł swoje cudne oczy i odpowiedział spokojnie:

- Porwali podciepka?... Więc idźcie i odbierzcie go. A potem dodał jeszcze:

- Ja czuwam.

I zasłoniwszy głowę skrzydłem, popadł w poprzednią zadumę. Zafrasowana gromada wyszła bez szelestu.

- Idźcie i odbierzcie! Idźcie i odbierzcie! - powtarzał z rozdrażnieniem pirusek.

- Idźcie do Ciemnego Lasu... Łatwo to powiedzieć!

- Było po co chodzić - sarkały klawiki.

- Może by jeszcze iść poradzić się Hlacza Chlustacza - zamyślił się stary kluczek.

- Kto to jest? My go nie znamy! - zawołały igiigi.

- To jest gazda rzeczny. Mieszka tu w rzece i jest zawsze wesół. Co parę lat, gdy w górach spadną wielkie śniegi albo deszcze, rzeka rośnie, rośnie, zalewa ogród, a Hlacz Chlustacz zagląda przez okna do domu. Wtedy rozmawia z Kacperkiem.

Tego lata Kacperek dał mu chleba z masłem, a on przysłał za to dwie żaby faszerowane, których nikt u nas nie jadł, bo trochę śmierdziały... Ale on jest bardzo mądry - wyczerpująco, choć zgrzytliwie opowiadał kluczek.

- A kto by poszedł do niego?

- Najlepiej niech psy idą, bo są wyszczekane...

- Tak! Tak! Tylko psy! Hlacz Chlustacz nas nie zna; gotów nas wziąć za żaby, nim się obwołamy - jęczał kanapon, a klawik nerwowo brzęczał struną ogonową, bo bardzo nie lubił wody.

Po długiej przemowie starego kluczka, który w tym celu specjalnie łyknął

oliwy w kredensie, Topsy i Bekas zdecydowali się iść w poselstwie od domu do

Hlacza Chlustacza.

- Idźcie na brzeg i wołajcie grzecznie: Hlacz Chlustacz! Hlacz Chlustacz!

Prosimy cię tutaj gorąco, chociaż bez płaczu! - pouczał psy przed odejściem kluczek.

- Jest zwykle krotochwilny, więc się nie przestraszcie. Idźcie na stare łożysko; on tam przebywa chętniej niż na głównej wodzie, bo woli żaby i raki niż pstrągi.

Psy ostrożnie przebrnęły wartko szumiący nurt rzeki i stanęły wśród wikliny nad ciemną, cichą wodą dawnego koryta.

- Czujesz kaczkę? - szeptał z uniesieniem Bekas.

- Nie - odparł Topsy. - Wołajmy.

I złożył trójkątnie grubą, czarną paszczę.

- Wołajmy - rzekł Bekas z żalem - ale ją spłoszymy.

- Czy przyszedłeś tutaj dla Kacperka, czy dla kaczki? - zgromił go surowo Topsy.

- Ani razu tego lata nie polowałem na kaczki - westchnął Bekas.

I obaj jednogłośnie wołać zaczęli na Hlacza Chlustacza. Obwołali go raz, drugi, trzeci, ale nic nigdzie nie odpowiadało.

- Może jest na „Wiśle? - zauważył Topsy.

- O nie, to jest przecież Hlacz Chlustacz Brennicy... Zawołajmy jeszcze raz...

- Czym mogę służyć? - zachlapał nagle jakiś miękki głos i nKr spod nóg psów wysunęła się dziwaczna głowa. Przerazone odskoczyły, warcząc, ze zjeżoną sierścią.

- Co za ordynarne bydlęta! - zachlustał śmiechem Hlacz Chlustacz (on to był bowiem) i wylał z wody na wielki kamień nadbrzeżny, rozkładając na nim do słońca tłuste, zielonawe ciało. Twarz miał szeroką, z grubymi wargami i małe,

wesołe oczka. Na łysej czasce wyrastały dwie długie, giętkie macki, którymi ruszał dowolnie.

- Ordynarne bydłeta, powtarzam. Wołają mnie od godziny, a gdy przyszedłem, warczą tylko a sterczą jak słupy...

- Daruj nam, panie Chlustaczu! Zaskoczyłeś nas znienacka. Przysłano nas tutaj, by ci opowiedzieć o strasznym nieszczęściu...

- Wiem już! Wiem wszystko, co się u was dzieje... możecie nie opowiadać.

Wiem, że mój przyjaciel Kacperek stracił swoje maru... Niedołęga! Znam go wprawdzie tylko dwieście lat (dawniej rzeka nie szła tędy, tylko dalej), nigdy jednak nie posądzałem go o taką nieroztropność! Wiem też, że któryś z was nie mógł obejść się bez kolacji i skrzat został porwany do Ciemnego Lasu...

- Od obiadu byłem na czczo - rzekł ze wstydem Bekas, rumieniąc się od nosa do czubka ogona.

- Cóż to znaczy: od obiadu! Zgorszony jestem twoją niewstrzeźliwością!

Gdy zjem dziesięć tłustych żab, a chodzi o coś bardzo ważnego, potrafię wstrzymać się od jedenastej... ale mówcie mi, co dalej?

- Gdy złe moce z Ciemnego Lasu porwały skrzata, wszystkich nas ogarnęła trwoga. Zebraliśmy się na ciemnych, dużych schodach i radzili. Ludzie spali; zresztą ludzie nic o tym wszystkim nie wiedzą... Jak mogą nie wiedzieć, skoro cały dom jest do siebie niepodobny, nie pojmuję... Uradziliśmy, że pójdziemy zapytać anioła, co robić...

- Kiedy trwoga, to do Boga... znam to! - gwizdnął Chlustacz i poklepał się po udzie.

- Anioł odpowiedział: „Idźcie i odbierzcie”.

- Słusznie odpowiedział, bo jeśli nie pójdziecie i nie odbierzecie, Kacperek na pewno nie wróci.

- Wyszliśmy bardzo zawiedzeni, bo to przecież niemożliwe...

- Jak to: niemożliwe? Myśleliście pewnie, że anioł zawoła: „Kochane zwierzątka, już idę, już lecę” i sam wszystko za was zrobi...

- Ale jakże iść?

- Na swoich nogach, na południowy wschód.

- Nie żartuj z nas, panie. My, psy, nic same nie zrobimy, bo Leśni, gdy zechcą, staną się dla nas niewidzialni. Z naszych zaś stworków któż by poszedł? Pirusy są tak zapasione, że ledwo się toczą z sadu do piwnicy i z piwnicy znów do sadu...

Igiigi, gdy tylko wylecą nad komin, zapominają wszystkiego i rozlatują się bez celu; kanapony nie odejdą od bogatych zbiorów, nagromadzonych w kanapach; klawiki boją się rosy...

- Nie ruszyłbym dla was końcem płetwy, niedołęgi! - zawołał Hlacz Chlustacz z gniewem. - Niechby was Sato i jego sfora wyrzuciła z domu na cztery wiatry! Ale żał mi starego podciepka... Dwieście lat się znamy. Podczas ostatniej powodzi dał mi chleba z masłem... Posłałem mu za to dwie znakomite żaby, ale zdaje mi się, że przez omyłkę wybrałem trochę nieświeże... Zjadł je, ale ich nie strawił, jak mi mówiło później wiaderko... Jestem więc wobec niego dłużny i chętnie chciałbym coś zrobić...

Hlacz Chlustacz trwał w zamyśleniu, wydymając mokre wargi.

- Ty mały, z dużymi uszami, jak się nazywasz? - rzekł nagle.

- Topsy - odparł zagadnięty, kładąc przymilnie uszy, lecz okiem łypiąc nieufnie.

- Otóż, Topsy, przyjacielu, przyjdiesz tu nad brzeg w południe...

- Ja? - zapytał zaskoczony. - Ja sam?!

- Ty sam. Ten mi tu kaczki płoszył. Nie potrzebuję go na mojej dziedzinie.

Przyjdiesz w południe i powiem ci, com obmyślił... Ty zaś powtórzysz moje słowa wszystkim waszym prześwietnym ramolom, molom i niedołęgom. A teraz żegnajcie!

Gdy psy odeszły, Hlacz Chlustacz zsunął się z kamienia.

- Nieś mnie do Brennej - rzekł wodzie.

- Gazdo mój! - dźwiękła kornie fala. - Muszę się przecież śpieszyć do Skoczowa.

- Co mnie to obchodzi - rzekł niedbale Chlustacz. - Muszę tam być, a płynąć mi się nie chce, bom bardzo objedzony.

Więc fala posłusznie wzięła swojego władkę na plecy, a wstrzymawszy się na chwilę, przerzuciła go następującej za nią fali, tamta zaś trzeciej i czwartej. I tak podawały go sobie pośpiesznie, po chwilowym zatrzymaniu się biegnąc w dalszą drogę. Hlacz Chlustacz, zmrużywszy oczy, pozwalał się nieść; od czasu do czasu gładził ręką śliskie, okrągłe kamyki zalegające dno. Zamyślony był głęboko. W pewnej chwili otworzył oczy i spojrzał bystro ku górze. Ponad nim rybitwa śmigła białymi jak roztopione srebro skrzydłami.

- Czy nie wiesz, gdzie jest Świdrowiec? - spytał ją donośnie.

- Wiem, panie! - z pośpiechem odkrzyknęła mewa. - Widziałam go dzisiaj przy zerwanym moście w Brennej...

Hlacz Chlustacz płynął dalej, przymknąwszy znów oczy. Gdy zobaczył betonowe słupy mostu skruszone powodzią, zeskoczył z grzbietu fali i siadł, by odpocząć.

- Porządna robota - mruczał z uznaniem, patrząc na żelazne belkowanie

skręcone jak wióry - dobra robota... Ho ho! moja rzeko! Ścigajmy się! - zawołał nagle wesoło do pstrąga, który jak biała strzała przecinał nurt wody. - Ścigajmy! - powtórzył i ruszył w pogoń za rybą.

Naraz uszu jego doszedł rehotliwy, suchy śmiech. O parę kroków dalej wynurzył się z wody szatan wodny, zwany też Świdrowcem, i śmiał się pogardliwie, patrząc na gonitwę. Był bardzo złośliwy, chudy i przejęty własną grozą, a ponura napuszość nie opuszczała go ani na chwilę.

- Ach, to ty! - rzekł Hlacz Chlustacz, udając zdziwienie. - Sądziłem, że jesteś dużo wyżej; nie byłbym ci przeszkadzał.

- Nie przeszkadzasz znów tak bardzo - odrzekł zimno szatan wodny. -

Zawsześ wesoły, jak widzę?

- O, zawsze! Niczym węgorz na własnym weselu!

- I zdrów?

- Jak te ryby, które zjadam!

- Ja pospolitą wesołością gardzę, a zdrowie mam popsute kamieniami, które muszę gryźć od czasu do czasu, by je nauczyć trochę moresu... Ty o to nie dbasz, oczywiście, ale...

- Cóż porabia twój włochaty kuzynek z Rzybrzyczki? - zagadnął od niechcienia Chlustacz, zakładając jedną płetwę na drugą.

- Sato? O, Sato jest na drodze do wielkiego szczęścia. Wyobraź sobie, że udało mu się dostać najprawdziwsze skrzacie maru. Wprawdzie nie umie się z nim jeszcze obchodzić, ale odkryje to lada dzień. Opowiadał mi o tym jego powiernik, chichotek, gdy przychodził tu pić wodę.

- Czy już je wysłońcował? - zapytał Hlacz Chlustacz niedbale.

- Jak? Słońcował? Co to znaczy?

- Cóż za nieuctwo! Każde maru, gdy zmienia właściciela, musi być

słońcowane przez dziewięć dni; inaczej nie ma większej wartości niż ten oto kamyk...

- Skąd wiesz? - zapytał szatan wodny podejrzliwie. i r/

- Czasu każdej powodzi widuję przecież podciepka Kacperka z domu w

Wielkich Górkach - rzekł uprzejmie Chlustacz, rozkładając się wygodniej. -

Rozmawialiśmy o tym w czasie przedostatniej powodzi w roku 1915, kiedy to

wszędzie strzelali oprócz w naszych górach...

- Dawno go teraz widziałeś? - wypytywał Świdrowiec coraz podejrzliwiej.

- W sierpniu, tego właśnie dnia, w którym moja droga rzeka zabrała ten most.

Ach, piękny to był dzień! Na wszystkie pstrągi dwóch dolin! Czy pamiętasz minę

inżyniera, który rok temu powiedział, że ten most stać będzie sto lat? Sto lat... rok

temu... - I Hlapz Chlustacz stanął z radości na głowie.

- Żakowski wybryk - rzekł kwaśno Świdrowiec. - Dla mnie dzień ten nie był

piękny, bo ani jeden człowiek nie utonął...

- To i całe szczęście! Na co miał się utopić? Psuć smak i kolor mojej ślicznej,

czystej wody? - obruszył się Chlustacz, gładząc pieszczotliwie fale, które poddawały

się jego ręce z pluskiem zadowolenia.

- Jakże więc z tym słońcowaniem?

- Ze słońcowaniem? - powtórzył doskonale na pozór obojętny Chlustacz. - Nic

prostsze. Na najwyższym drzewie, na wierzchołku góry - najwyższym, uważasz? -

umieszcza się na krzyż dwa białe pręciki. Na nich zawiesza się maru. Dziewięć

słonecznych dni wystarczy, byle talizman nie był ani uwiązany, ani trzymany przez

nikogo, ani ocieniony. Musi swobodnie wisieć, zaczepiony na pręciku.

- Każę to powiedzieć dziś jeszcze Satowi.

- Powiedz mu więc także, żeby w zamian za przysługę nie włąził mi do wody, gdy już maru będzie działać, i nie dokuczał rybom ani reszcie mojego dobytku! -

zawołał Chlustacz, a położywszy się na wodzie, popłynął w dół rzeki z powrotem. i

ii Z nie ukrywaną niechęcią zbliżał się Topsy do brzegu. Rozejrzał się badawczo, przeszedłszy wodę, obwąchał starannie brzeg i miałki piasek, a nie widząc nic wokoło siebie, zaczął donośnie wołać rzeczno gazdę. Ale nad rzeką drzemał błękitny, południowy spokój i nic nawet nie zadrżało w krzakach na jego wołanie.

Rozdrażniony pies podniósł głowę do góry i wyzywająco ujadał, aż się zasapywał.

- Cóż to za żarty? - mruczał. - Gdzie jest ten rybojad? Długoż tu będę wołał, dając z siebie ucieszne widowisko żabom i pająkom wodnym?... Auu! Auuu! -

wrzasnął nagle, poczuwszy, że coś mocno chwyta go za nogi. Wyrwał się jak oparzony i przysiadł na brzegu, drżąc z oburzenia i strachu.

- Jakiś ty lękliwy! - rzekł dobrodusznie Hlacz Chlustacz, wylażąc tuż obok z wody.

- Nie jestem lękliwy, tylko nerwowy - szczeknął sucho Topsy, którego ogromnie drażniły nieobliczalne krotchwile wesołego Hlacza.

- Ach, nerwowy! - zauważył tamten ze współczuciem. - Zimny prysznic może? - I zręcznym ruchem płetwy wylał psu na głowę dobry garniec wody.

Rozwścieczony Topsy pluł, trzepiąc uszami, gdy swawolny Chlustacz brał się tymczasem za boki ze śmiechu.

- Stój, mały! Stój! - zawołał widząc, że pies obrażony chce odchodzić. -

Będziemy już mówić przyzwoicie i spokojnie. Siadaj i słuchaj.

- Słucham - rzekł Topsy niechętnie.

- Możesz uprzejmiej wykrzywić twą murzyńską gębę, bo nikt - słyszysz? - nikt na całym świecie nie zrobiłby dla was tego, co ja dziś zrobiłem. Co prawda nie chodziło mi o was, tylko o podciepka... Ale mniejsza o to! Dość że dzięki mnie maru, zamiast tkwić w kosmatym uchu Sata, skąd by go żadna siła nie dostała, będzie przez dziewięć całych dni wisiało na szczycie drzewa na białym pręciku. Możecie zatem za jednym zamachem odebrać i Kacperka, i maru...

- W jaki sposób odebrać? - zagadnął Topsy, który słuchał z uwagą.

- Och, to już nie moja rzecz! Czyż naprawdę nie jesteście sami zdolni do niczego? Pójdziecie odbić Kacperka, a równocześnie ktoś z was porwie z drzewa maru. Ucieknie z jednym i z drugim. Cóż prostszego? A że się wasze mole kanapowe raz przewietrzą, to im nie zaszkodzi... No, do widzenia, młodziku! Pozdrów ode mnie Kacperka, gdy go odbijecie, i powiedz, żeby przyszedł pogadać ze mną nad rzeką. Uszy do góry, a czasu nie traćcie, bo tam gotowi tymczasem starego zamęczyć.

Hlacz Chlustacz dał susa w górę i znikł gdzieś w wodzie tak nagle, że oszołomiony Topsy z przerażeniem wodził wokoło oczami.

Cały dom zebrany był w dużej sieni koło schodów, czekając powrotu wysłańca. Byli tam wszyscy, wszyscy oprócz ludzi; wszystkie zwierzęta i wszystkie niestworki. Gdy Topsy powtórzył im słowa Chlustacza, zaległo przymuszone, ciężkie milczenie. Ale wnet przerwała je wrzawa straszliwa:

- Iść na Rzybrzyczkę? Ależ to niemożliwe!

- Nie, niemożliwe! Co za dzika myśl!

- Hlacz Chlustacz powiedział, że innej rady nie ma...

- Dobrze mu mówić! Niechże idą ci/co mogą...

- To znaczy, którzy, proszę ja pana mojego?

- No, jak to?! To proste! Ci, co mogą chodzić. Co mają nogi. Co znają las...

Zwierzęta, duże, mocne...

- My, psy... naturalnie! Powiedz to od razu. O, gdyby chodziło o walkę z uczciwymi zwierzętami, z pewnością nie oglądalibyśmy się na niezdary, zdolne najwyżej do zjadania kurzu... ale towarzyszy Sata nie zobaczymy, i co?!

- Szczypiorek może iść z wami...

- Nie mogę iść - skrzeknął z przestachem szczypiorek - bo jeśli zginę, kury przestaną nieść jaja!

- Ważniejsze jaja czy maru?

- My nie możemy iść przecież! - zapiszczały kanapony. - My bywamy na dworze tylko wtedy, gdy trzepią meble! O, straszny to dzień! O, okropna Frania z trzepaczką! Kryjemy się w szpary i drżymy! Świat poza domem jest dziwny, niebezpieczny i wiejący...

- Nikt chyba nie może wymagać, abym ja szedł - zajęczał klawik - skoro od najmniejszej wilgoci rdzewieją mi struny i nie potrafię wydać z siebie głosu...

- Moja beczka nie wytrzyma beze mnie pół dnia...

- Nie, co za pomysł! - skrzytnął gniewnie smolik. - Iść walczyć w Ciemnym Lesie z nie znanymi potworami! Jesteśmy dobre, spokojne stworzenia i nie chcemy bić się z nikim.

- Dobre, spokojne stworzenia muszą się też bić czasem i bronić - zgrzytnął stary kluczek, dotychczas milczący. - Co lepiej? Jak myślicie? Czy iść samym, czy czekać, aż Sato ze swoją gromadą wypędzi nas z naszego własnego mieszkania?

- Lepiej iść; ale sam zdrowy rozsądek mówi, że powinni iść tylko ci, którzy są zdolni do walki! - wrzasnęły klawiki.

- Slicznie, a którzy są zdolni?

- My nie! - skwarknęły z szumem igiigi. - Przecież zginęłybyśmy, nie doszedłszy nawet do bramy...

- O, bynajmniej - odparł kluczek. - Giniecie, bo się wzajemnie zjadacie. Ale też bywają igiigi zgodne, które żyją bardzo długo; przez dwa, przez trzy, przez cztery bicia zegara... Sam widziałem takie rozsądne, grzeczne igiigi noszone w garnku w pole przez gaździny...

- A kto nas poniesie w garnku? - zaskwierczały. - My zaprzestaniemy walki, ale trzeba garnka...

- Garnek sam nie pójdzie i nikt z was go nie poniesie...

- My iść nie możemy! - chóralnie skrzyknęły smoliki.

- O nas nie ma mowy - szeptały piruski - jesteśmy za grube...

- Ani o nas - jęknęły kanapony - jesteśmy za chude.

- Wobec tego my też nie - rzekł kluczek - bo sami zgubimy się w trawie.

- Wiadomo było od razu - mruknął Bekas z przekąsem - że nikt z was iść nie może. Siedźcie więc i czekajcie, aż tam skrzata zamordują i przyjdą zrobić z wami to samo.

Dreszcz przeleciał zgromadzenie.

- Właściwie kanapony mogą doskonale iść... Cóż ma im chudość przeszkadzać?

- Za nic nie pójdziemy! Nie zostawimy naszych skarbów bez opieki!

- Ojjo! Ojjo! - jęczał kanapon z salonu, targając w rozpacz swe słupaste oczy.

Jak świat światem, nikt nie widział takich bogatych zbiorów; mam tam dwie pary nożyczek, trzy karty pocztowe, dwie karty do grania, pasemko nici, łyżeczkę do

kawy i prawdziwą złotą szpilkę do krawata! Ach! Jak ona się błyszczy! Ach! Jak jej

szukali! I ja bym miał odejść od takiego skarbu! Nie!

- Któż ci go ruszy, wariacie, jeśli wszyscy pójdą z domu?

- Myszy tylko na to czyhają - szepnął ponuro, patrząc z niechęcią w ich stronę.

- Wszystko jedno! Idziemy wszyscy albo nikt!

- Albo wszyscy, albo nikt! - powtórzyło kilka głosów.

- Ależ my nie trafimy!

- Psy nas poprowadzą.

- Ja zamoknę, zardzewieję i umrę - szlochał cienko starszy klawik.

- Nie becz! Gdzie będzie woda, już ja cię przeniosę - zaofiarował się Miluś.

- Przecież my nie dojdziemy - zawodziły piruski - zatchniemy się jeszcze przed bramą...

- Albo wszyscy, albo nikt! - powtarzał kluczek uparcie.

- Ktoś musi zostać w domu - próbował jeszcze bronić się akwadon.

- Na co? Wszak anioł powiedział: „Ja czuwam”. Domowi nic się nie stanie.

Zostaną tylko matki najmniejszych dzieci. Kilka myszy... Filonowa...

- Ja pójdę - rzekła Miaulina, rozprężając swe pazury. - Dzieci wytrzymają do wieczora, a ciągnie mnie do Ciemnego Lasu.

- Zatem idziemy?! Wszyscy?!

- Idziemy wszyscy! - odkrzyknięto chórem. - Na Rzybrzyczkę! Po skrzata! Po maru! Idziemy! Idziemy! Idziemy!... Stary kluczek niech dowodzi! Jesteśmy gotowi!

Hurrra!

- My będziemy na dole odbijać Kacperka, a tymczasem Filon zdejmie z drzewa maru - tłumaczył kluczek poważnie.

Słusznie obrano go wodzem wyprawy, był bowiem najstarszy i najbardziej doświadczony. Nieraz za jego pamięci ludzie staczali srogie walki przy obronnych wrotach dworu, więc znał z tej materii niejedno.

Wśród skupionego milczenia gromady kreślił teraz plan działania.

- Jeżeli najpierw zabierzemy maru, to złe moce z wściekłości zaduszą podciepka. Jeżeli zaś najpierw weźmiemy Kacperka, to będą pilnować maru i nikt się już doń nie dostanie. Trzeba te dwie rzeczy zrobić równocześnie... Rozumiesz dobrze, Filonie?

- Rozumiem i podejmuję się - rzekł ptak uroczyście, wydawszy mieniącą się gardziel, i spojrzał ku żonie, szukając w jej oczach podziwu.

- Wyjdziemy wszyscy o świcie. Filon skryje się w pobliżu maru pomiędzy drzewami. Gałęzie są tam podobno bardzo gęste i ukryć się łatwo. Będzie z góry widział wszystko, co się dzieje. Gdy uzna, że chwila stosowna, pochwyci kolczyk i będzie się starał połączyć z nami jak najprędzej. Filonie, uważaj! Strzeż się sowotwora, strzeż się latopaka, strzeż się przede wszystkim i awila, który oczami może cię ściągnąć na ziemię!... A szyją nie błyszcz wcale!... Teraz, przyjaciele, idźcie spocząć... O świcie, zanim się ludzie przebudzą, wyjdziemy.

Jakoż cienkim świtem wyszli i gdy słońce się podniosło, dom był tak cichy i pusty, tak samotny i opuszczony, że ludzie, nie słysząc żadnego z codziennych szmerów, zapytywali się prawie ze strachem:

- Dlaczego tak cicho dziś w domu?...

Południe dochodziło, gdy cała wyprawa dosięgała stoku góry. Armia była dość niesforna i stary kluczek daremnie starał się, aby naprowadzić w niej jakiś taki ład. Sam siedział na głowie Bekasa, w otoczeniu młodszych kluczków, dając pilne

baczenie na wszystko dokoła. Kilkanaście okrągłych pirusków czepiało się sierści Topsego, który otrząsał je co chwila, nie bacząc na ich lamenty. Obie kotki szły poważnie, nie spoglądając nawet w stronę myszy. Kanapony skakały niezdarnie wśród trawy i chciwie zbierały suchy tzep, czepiający się mocno ubrania. Jeśli uda się wrócić, jakaż cudowna rzecz do obronnego zamknięcia kryjówek! Nikt ręki nie wsunie w kanapę... By nie stracić swobody ruchu, przyczepiały je sobie do grzbietów, co sprawiało uciechą widok. Akwadon uwiesił się szyi Milusia, który zresztą cierpliwie dźwigał już z pół kopy smolików węglowych.

Klawiki skakały na szczudłach bardzo przemyślnie zrobionych, a chroniących je od wody. Rolf jeden szedł sam i nie dźwigał nikogo. Szpic podążał za nim, pewny, że również nikogo nie niesie; nie wiedział, że na jego puszystym, skręconym ogonie siedzi wygodnie cała gromada wesółków.

W szeregach trwało milczenie pełne frasunku i lęku. Wokoło wszystko było obce, dziwne, nowe. Może było nawet i piękne, lecz tak bardzo inne! A gdzieś daleko, na końcu tej męczącej drogi, czekał jakiś straszny bój, którego nikt nie umiał sobie wyobrazić. Nikt nie wiedział naprawdę, jak wyglądają złe moce, ile ich jest, jak trzeba będzie walczyć i z jakimi siłami. Od zmęczenia i trwogi biednym niestworkom domowym aż kręciło się w głowie.

Stary kluczek z zachwytem rozglądał się po dolinie.

- Och! - rzekł do Bekasa. - Świat jest piękniejszy widziany stąd niż z mojej dziurki od klucza...

- A pachnie! Czy czujesz, jak pachnie?! - odszepnął mu wyżej namiętnie. - O lesie mój!... Czy ty, stary, możesz rozróżnić to wszystko, co tutaj tak cudownie mąci w głowie? - Urwał naraz i przystanął. - Ależ to coś bardzo znajomego! - krzyknął. -

Niech oni wszyscy odpoczną, a my się dowiemy.

- Uff! Co za szczęście! - jęknęły piruski, padając śmiertelnie znużone na ziemię.

Bekas wszedł ostrożnie w kłujące i zwarte krzaki, niosąc starego kluczka ukrytego w prawym uchu.

- Ach, to ty, Iglaczu! - zawołał przyjaźnie, gdy z krzaków doszło go groźne sapnięcie. - Nie masz co się szurzyć, bo ci nic nie robię.

Stary jeż przestał sapać i wysunął z gęstwy brunatnych kolców czarny, zadzierzysty ryjek.

- Wybaczcie, nie poznałem was - rzekł najuprzejmiej. - Pamięć mam słabą, a minęło już pewnie ze dwa miesiące od czasu, gdy gościłem u was. Ciebie, Bekasie, widuję tu często, ale co mogło sprowadzić do lasu czciwego kluczka z głównych drzwi?

Kluczek westchnął w odpowiedzi, po czym żałośnie wyzgrzytał strasliwą historię porwania podciepka i maru. Jeż to najeżał, to kładł kolce na znak wielkiego zdziwienia.

- Idziecie więc na górę, aby go odbić? - zapytał.

- Tak jest. Jak widzisz, idziemy.

- A gdzie tam trzymają Kacperka? Czy jest strzeżony tylko, czy związany?

Czy wszystkie Złe Moce są koło kamienia?

- Niestety, nic o tym nie wiemy.

- No - odparł jeż - to nic nie zrobicie. Dadzą wam łupnia, staremu kark skręca, i tyle. Pozwólcie, że pójde naprzód i dowiem się wszystkiego.

- Jeżu! Najdroższy jeżu! - wołał kluczek z wdzięcznością. - Zrobisz to

naprawdę?

- Czemu nie miałbym zrobić? Czy stary Kacper nie gawędził ze mną całymi nocami, aż ludzie narzekali, że spać nie dajemy? Bać się nie boję, bo na moich igłach nawet Sato sobie kiedyś pięści pokaleczył, i nie zaczepi mnie nikt. Siedźcie tutaj, aż ja powrócę.

Czas minął niemały, zanim jeż wrócił sapiąc.

- Maru wisi istotnie na drzewie, na dwóch pręcikach, a Filon już siedzi na sąsiedniej jodle - oznajmił. - Schował się dobrze i nikt o nim nie wie. Kacperek jest skrępowany łykiem i przywiązany do drzewa po prawej stronie kamienia.

Dokuczają mu ciągle, by powiedział, czemu maru nie ma władzy. Ale on sam nie wie i nikt nie wie. Ja też nie wiem. Skrzat płacze. „Pozwól mi je obejrzeć, daj do ręki: powiem, co mu jest” - powiada Kacperek. Ale oni nie chcą słyszeć o tym. Sato jest strasznie zły.

- A kto jeszcze jest z nim?

- Są prawie wszyscy. Przeprowadzenie łatwa nie będzie. Ale ikoro, choć duży, jest głupi i psy z łatwością dadzą sobie z nim radę. Opryskliwiec jest w gruncie rzeczy tchórzem, Sato nie może odejść od kamienia. Bardzo groźny jest awilo, bo obezwładnia oczami... A teraz ruszajmy, ja was poprowadzę; pod szczytem góry rozdzielimy się i uderzymy z dwóch stron. A może by kogo ponieść? - dodał mrugając wesoło oczami.

- Dobrze! Och, dobrze! - zawołał jeden z pirusków.

- Zabierz mnie i moją żonę... biedna sił już nie ma, a Topsy zabrać nas nie chce.

- Trudno, żebym dźwigał pięćdziesiąt pirusków... - warknął oburzony pies. -

Przecież już na mnie siedzi was cała gromada!

- Siadajcie - zachęcał jeź uprzejmie, układając igły, a gdy się wtoczyli, puścił się żwawym galopkiem.

- Ajajaaj! Ajajajaj! Stój! - zaczęły wyc piruski, gdyż w biegu ostre kolce wbijały się niemiłosiernie w ich pulchniutkie ciała. - Stój, panie jeżu! Szlachetny zwierzu! Zlituj się!! O moja biedna żono!! O mój biedny grzbiecie! O! O! Stój!

- Nie jesteście zadowoleni, jak widzę - rzekł jeź, stając.

- Och! - jęknęły, staczając się bez sił na trawę. – O panie! Nie wiedzieliśmy, żeś taki kłujący! O, jakże teraz pójdziemy! O szlachetna Miaulino! Jesteś rozkoszna i miękka jak aksamitna kanapka! Może byś...

- Poszły precz! - syknęła kotka. - I tak mi gorąco. Czy nie widzisz, że niosę wszystkie igiigi? Porusz tylko sierść pod włos.

- Niechże je tam kto weźmie - prosił pojednawczo kluczek. Więc duży, brunatny szczur, który milcząco podążał za całą kompanią, zgodził się ponieść je kawałek drogi. Przyłgnęły do niego brzuskami, pochlipując z cicha, bo obrażenia ich były bolesne.

- Trzeba zachować zupełne milczenie. Wchodzimy do Ciemnego Lasu - obwieścił uroczyście jeź.

W głębokiej ciszy jęli się wdrapywać na śliskie, omszone kamienie. Dookoła stały wielkie, czarne jodły, potężnymi korzeniami obejmując głązy. Orszak posuwał się w głuchym milczeniu. Naraz przy końcu orszaku rozległ się cichy, ale wyraźny metaliczny dźwięk. To klawikom ze strachu drżały struny ogonowe.

- Milczeć tam! - zakrzyknął kluczek.

- Kiedy nie możemy... bz... bzbzzz...

- Nie pójdziemy przecież z taką muzyką na górę - irytowały się psy. - Cicho

bądźcie, natychmiast!

- Bz... bzbzzz... bzz - płakały klawiki, dzwoniąc coraz lepiej.

- Odśrubować im ogony!

- Za nic! Ach, za nic! - załkały. - Pozwólcie, że je sobie okręcimy mchem.

- Okręcajcie zatem - rzekł kluczek z rezygnacją, a gdy miękki mech stłumił

trwożne odgłosy, ruszyli dalej ku górze. Nikt w głębi duszy nie dziwił się klawikom, bo i najodważniejszym dygotały nerwy.

Ciemny Las! Słyszano tylko o nim jak o bajce okropnej, teraz zaś przyszło iść tędy, aby stoczyć krwawy bój na śmierć i życie. I komu to przyszło? Im, spokojnym mieszkańcom cichego, pogodnego domu, im, z których niejeden nigdy za cztery ściany nie wyrzał!

W Ciemnym Lesie panowało straszliwe milczenie. Nie dziw: przecież dawno uciekły stąd wszystkie zające, bażanty, sarny, wszystkie ptaki i motyle - wszystko, co stanowi życie i radość lasu. Dawno przestały tu kwitnąć jagody, rosnąć paprocie i trawy. Tylko trujące grzyby jaskrawo odbijały od ciemnoszarego tła mchów i ciężkich głązów.

Jakieś błoniaste skrzydła załopotwały wysoko ponad czarnym, nieprzebitym sklepieniem jodłowym.

- To latopak - rzekł jeż - poznaję jego lot. Wraca z wywiadu; on teraz lata zamiast sowy. Byle nie dostrzegł Filona, bo wtedy wszystko przepadło...

Milczeli strwożeni, nasłuchując, jak łopot z wolna się oddalał; pod ciemnym sklepieniem znów zaległa cisza.

- Jesteśmy niedaleko od szczytu - szepnął znowu jeż, przystając, aby się wysapać. - Za chwilę zobaczymy kamień Złego Skarbu, pod którym siedzą pieczarki

i dzwonią żółtymi krążkami. Na kamieniu siedzi Sato, a naprzeciwko, pod drzewem, stoi związany Kacperek.

- Ja rzucę się na Sata - rzekł Rolf i głucha wściekłość zbulgotała mu w gardle złowrogo.

- Każdy ród niech się rzuci na jednego wroga. Jesteście słabe, ale jest was wiele. Nawet opryskliwiec nie da rady, gdy go opadnie kopa kanaponów. Walka będzie ciężka, bracia, ale nie myśmy ją zaczęli... a Tanema powiedział: „Ja czuwam” - rzekł serdecznie stary kluczek, by dodać ducha gromadzie. - Co to dzwoni? Znowu klawiki? - spytał, obracając się.

- Nie, to nie klawiki, to piruskom zęby...

- Dam wam w zęby, wstrętne tchórze, jak tylko wrócimy do domu.

- Cicho! Kto tam beczy?

- Akwadon beczy za beczką...

- Ja nie pójdę! - zaczął nagle łkać rozpaczliwie kanapon. - Ja nie pójdę! Ja wrócę do domu! Ja nie chcę lasu, chcę swojej kanapy! Kto ze mną wróci?

- Ja! Ja! Ja! - zaszemrały zbuntowane głosy.

Rolf obejrzał się z pogardą, a stary kluczek drżał w bezsilnym gniewie.

- Cicho! - syknął nagle, bo z krzaków powyżej doleciała ich uszu wyraźna rozmowa:

- Ostatni raz pytam, czy zawieszenie maru tam na drzewie przywróci mi władzę, czy nie? - świszczał zjadliwie niewidoczny jeszcze Sato.

- Nie wiem, panie - odparł znużony głos.

Serca im drgnęły, bo był to znany głos starego podciepka Kacperka.

- Musisz wiedzieć, stara kukło! Powiesz, czy nie?

- Nie powiem ci tego, zły Sato. Nie powiem, bo nie wiem. Choćbym jednak wiedział, to... na resztki mojej siwej brody!... Nie dowiedziałbyś się tego ode mnie.

Nie daj Bóg, abym dobrowolnie wydał twej straszliwej władzy mój stary dom i wszystkich mieszkających w nim przyjaciół!

- Pod kamień z nim! - wrzasnął Sato.

Słuchali z zapartym oddechem, ale na szczycie znów było cicho.

- Kacperek jest pod kamieniem; ja go wykopię, to robota dla mnie - pisnął

Miluś, którego dziad był foksterierem.

- Prędeż, prędeż! - szepnął kluczek. - Kto chce wrócić, niech powraca, a kto jest z nami, niech idzie! Ja z Bekasem na prawo, z połową kompanii... Rolf z resztą na lewo!

- Hejże! Hej! Duj! Buduuj! Naprzód!!

Z dzikim okrzykiem wpadli na górę. Nikt nie zawrócił do domu. Gdzieś bez śladu odpadła poprzednia ich trwoga.

- Tuś jest! - ryknął Rolf do Sata, ale w pół drogi wstrzymał go awilo.

Zwarli się razem i tarzali po ziemi. Lepkie, giętke ramiona stwora oplątywały brytana. Zwarł się Topsy z opryskliwcem, a Bekas z ikorem, którego równocześnie szczypały po nogach zajadłe piruski.

Szczepił się chichotek drzewny z zawziętą zgrają klawików. Mech obleciał im z ogonów, lecz one nie szczękały już strachem, ale lwią odwagą.

Żernik miotał się wściekle pośród kanaponów. Z płonącymi oczami, z wysuniętymi pazurami podchodziła Miaulina do Sata, który, stojąc na kamieniu, kierował walką.

- Naprzód, igiigi!!! - wrzasnęła najeżając sierść, i rój niebieskich światełek

prysnął w twarz szatanka. Plując i parszając skoczyła ku niemu.

Wybuchnęła teraz piekielna wrzawa. Warczenie psów, chichot chichotka, zgrzytanie kluczków, brzęczenie klawików - składały się na hałas nie do opisania.

Wśród tego zamętu Miluś kopał zawzięcie, niepomyślnie niczego innego. Cały przód jego skrył się już w rozgrzebanej ziemi, a tylne nóżki fikały zamasyście w powietrzu. Ale już czuł skrzata blisko! Jeszcze parę grzebięć i otworzyła się szczelina.

- Kacperku! Kacperku!

Wyrwał półżywego skrzata i wpadł między swoich. Za nim przez otwartą szczelinę wysypały się pieczarki. Korzystając z tego zamieszania, zabrały dzieci na plecy i uciekały co sił z miejsca swej niewoli. W mgnieniu oka zbiegły na dół i zniknęły w lesie.

Nagle radosny trzepot rozległ się w powietrzu, a w ślad za nim świst straszliwy.

- Maru zabrane!! - zawrzaskał latopak i puścił się w pogoń. Tęczowe skrzydła Filona zabłyśły wśród konarów.

- Do domu! - zakrzyknął kluczek.

Cofali się piędź za piędzią, walcząc wciąż zajadle, własnym ciałem osłaniając nieprzytomnego Kacperka. W górze jak strzała, jak kula leciał Filon, trzymając czarodziejskie maru. Łopot latopakowych skrzydeł był tuż za nim, blisko. Darmo gołąb to zniżał się, to podnosił i mylił lot, by oszukać wroga. Potwór był coraz to bliżej. Gdybyż przyjaciele wyszli spod nakrycia lasu!

Naraz latopak zrobił śmiały rzut w powietrzu i pazurami chwycił gołębia za ogon. Ale Filon najwyższym wysiłkiem wyrwał się, zostawiając cały swój ogon w

szponach napastnika. Ten zachłysnął się gniewem i zwolnił na chwilę. Filon mknął dalej. Lecz jakże trudno mu było lecieć bez ogona! Jak łódź bez steru wirował w powietrzu i latopak byłby go dogonił niechybnie, gdyby - o radości! - spod kopuły lasu nie wynurzyli się na słońce oni, zbici w kłęb, walczący ciągle, nieustannie. Słabli widocznie, bo opryskliwiec, awilo i żernik nacierali coraz śmieiej.

Z krzykiem radości spadł Filon ku swoim, wprost na pierś Kacperka.

Dotknęło starczej, słabej dłoni czarodziejskie maru i naraz zapłonęło niewidzialnym dotąd blaskiem. Rozgorzało jak gwiazda, jak brylant lub kropla rosy zawieszona w słońcu.

- Maru moje!!! - krzyknął skrzat, unosząc je w górę nad głową, aż migotliwy łuk błysnął w powietrzu.

- Co się stało?!

Awilo, ikoro, chichotek, żernik, latopak - stanęli w miejscu jak wrzyci. Zamilkli, znaleli, zawrócili bez słowa z powrotem...

Słodkie poczucie bezpieczeństwa i radości przeniknęło znużoną, krwawiącą od ran, mdlejącą od wysiłków gromadę, a stary Kacperek tuląc w uniesieniu Filona i maru do serca, płakał ze szczęścia jak dziecko.

- Nie mogę was przenieść wszystkich, najlepsi moi przyjaciele - rzekł podciepek, śmiejąc się przez łzy - ale pójdę razem z wami... Już nam nic nie grozi.

I ciągnęli ku domowi, bardzo pewni siebie, a właśnie słońce zachodziło za wilamowickim lasem. Szli bez pośpiechu. Maru świeciło na przodzie i żadna ciemność nie mogła być im straszna. Piruski fikały koziołki i toczyły się z Buczą wesoło. Klawiki grały ognistego marsza. Kanapony strzelały swawolnie oczami. Filon poleciał przodem, oglądając się z zalem i dumą zarazem na swój kusy

grzbietek, z którego sterczało jedno tylko, i to nadłamane pióro.

„Czy ona oceni moje bohaterstwo? - myślał o żonie. - Ee, chyba oceni; to nie jest przecież pospolita gołąbica...”

Noc już zapadała, gdy każdy wsuwał się w swój luby kącik. Z niewymowną rozkoszą powróciły kanapony do nietkniętych zbiorów, akwadon zanurzył się w stęsknionej beczce, a igiigi skoczyły pod blachę.

Kacperek obchodził wszystko z rozrzewnieniem. Zło straszne było, lecz zginęło jak zły sen. Bóg łaskaw! Dotknął mimowolnie kolczyka. O, nie straci go już na pewno przenigdy!

Z kolei wsunął się cicho do dzieciennego pokoju. Anioł Majala, skrzydłem otulony, siedział między łóżeczkami i spał, tak jednak czujnie, że dosłyszał drobne krocзки Kacperkowe i strząsnął skrzydłem snop światła w tę stronę.

- To ja, Wasza Jasność - szepnął Kacperek, zginając kolana - i mam znowu maru...

Anioł uśmiechnął się słodko do starego skrzata i przytłumiwszy blask, trwał dalej nieruchomo między łóżeczkami jak księżycowa, błękitna poświata.